ŻYCIE

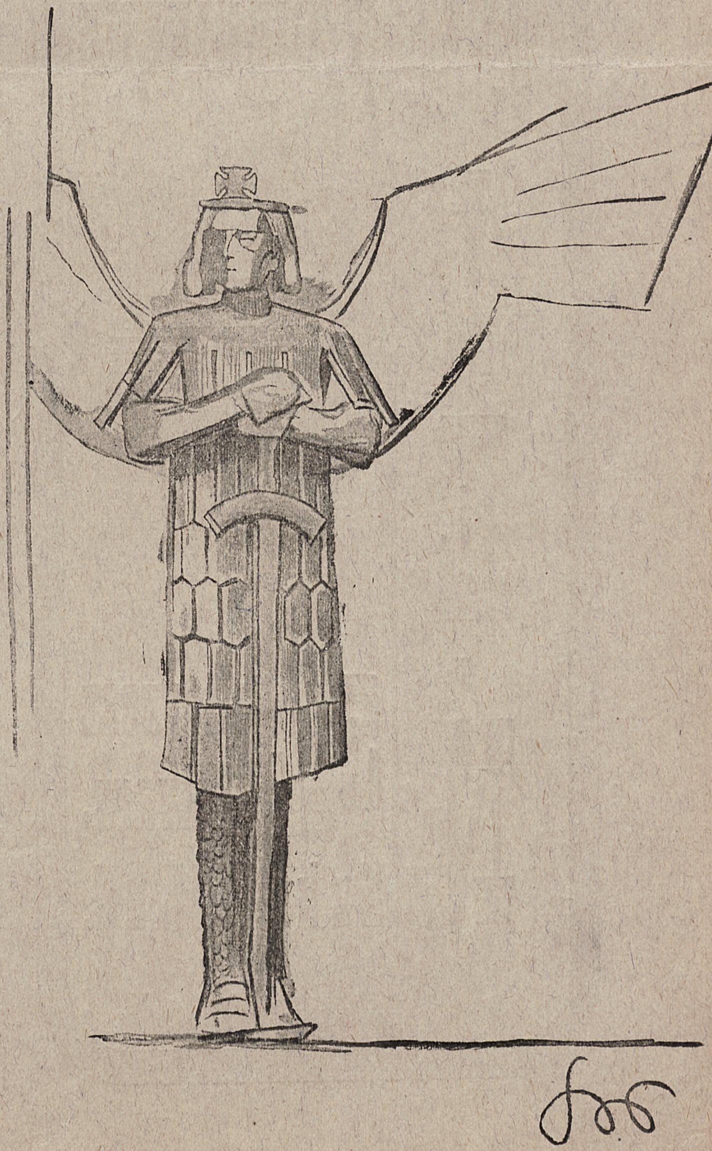
G. DANIŁOWSKI: *W drażliwej sprawie.*
M. DĄBROWSKI: *Obrazki z Belgji.*
Dr. E. LEWIŃSKI: *Polityka w Stanach Zjednoczonych.*
SAVITRI: *Dla Narodu.*
A. STRUG: *Mogiłka.*
ST. BACZYŃSKI: *Filozofia a życie.*
W. GUMPLOWICZ: *Jak Belgja stała się państwem.*
B. KOSTECKI: *Wojna w dobie dzisiejszej.*
R. MINKIEWICZ: *Słowa zatrważająco szczere.*
Z TYGODNIA: *Jubileusz Limanowskiego we Lwowie. — Dopełniło się. — Honor Poloniae żywie w nas. — O miejską reformę wyborczą.*

ROCZNIK I. ZESZYT XI.
DNIA 10. GRUDNIA 1910 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: JULJUSZ ŁOPATKA.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. : ; WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE) : :





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

GUSTAW DANIŁOWSKI.

W DRAŻLIWEJ SPRAWIE.



Skutkiem spędzenia do Królestwa ze wszystkich krańców Imperjum wydalonych Żydów, którzy rusyfikację u nas szerzą, spotęgowania sjonizmu, oraz przewodniej roli, jaką odgrywają Żydzi w tak zwanej Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, tłumiącej niepodległościowe tendencje, wzmagające się w narodzie naszym — stosunki polsko-żydowskie zaogniają się i antysemityzm, tj. wrogi nastrój dla Żydów wogóle, pomawianie o obłudę nawet zasymilowanych, wzrasta.

Ponieważ jesteśmy społeczeństwem ubezwładnionym i nic Żydom pod względem prawnopolitycznym ani zabrać, ani ofiarować nie możemy, bo o tym decyduje zawsze ten trzeci — walka ta toczy się przeważnie na szpaltach prasy i wyraża się we wzajemnych oskarżeniach i szkalowaniach, które, nie dając ani ujmując faktycznie żadnej stronie nic, rozdrażniają jedynie uczucia.

Nagromadzanie się tych rozdrażnień nie jest zgoła rzeczą obojętną, gdyż takie zadawnione urazy mszczą się często w dalekiej przyszłości. Jeżeli jednak antysemityzm niewątpliwie rośnie, to w wyobraźni wielu Żydów przybiera wprost apokaliptyczne rozmiary.

Pod tym względem dzieje się tak, że gdy antysemityzm wietrzy we wszystkim intrygę żydowską, wielu Żydów w swej nadwrażliwości upatruje w każdym objawie krytyki jawną, ukrytą, brutalną, naukową, reakcyjną lub postępową postać antysemityzmu.

Wolni od tego zarzutu pozostają jedynie ci, co milczą w tej sprawie, lub zbywają ją humanitarnym ogólnikiem. Tego rodzaju wymigiwanie się w tej istotnie delikatnej materji uchodziło do niedawna za kamień próbny istotnej postępowości, rzetelnego demokratyzmu.

W takim traktowaniu sprawy tkwiła spora doza nieszczerości, braku odwagi cywilnej, a najwięcej nieznajomości przemian zachodzących w społeczeństwie żydowskim. Żydzi wydawali nam się jednoimienną, jednowartościową, jednakowo nastrojoną masą, którą antysemityzm, jako czynnik zawsze i wszędzie szkodliwy, ryczałtowo potępiał, a postęp jako Polaków mojżeszowego wyznania stale przedstawiał.

Znaliśmy tylko oderwanych od masy asymilatorów, nie wiedząc, że w łonie tych mas nurtują najrozmaitsze poglądy, tworzą się obozy: Bundu, Syonistów, Socjal-Syonistów, Poalejsyon, Sejmowców — mnóstwo, złożonych z liter niezrozumiałych dla nas kryptonimów o ogólnej separatystycznej tendencji, wobec których asymilatorzy stanowią znaczną mniejszość, w większości wypadków skutkiem swego stanowiska i nieznajomości żargonu, zupełnie odciętą od ciemnego grzęznącego w nędzy i zabobonach, ale już rzadko gdzie obojętnego i biernego Ghetta. Gdy ten separatyzm począł się coraz silniej ujawniać, gdy w dodatku wylały się na Królestwo fale Litwactwa, nadające rosyjski charakter miastom nie tylko przez swą obecność, ale przez wyraźnie rusofilską i rusyfikacyjną działalność, antysemityzm wrzasnął tryumfalnie: „oto Wasi Żydzi!“ — a postęp zmieszał się jak człowiek zaskoczony przez zgoła nieprzewidywane zjawisko.

Okazało się, że są rozmaici Żydzi, jak wogóle rozmaici są ludzie, i ciężko grzeszy antysemityzm, gdy ich wszystkich w czambuł nienawiścią traktuje, a myli się srodze postęp, gdy upatruje w każdym Polaka lub kandydata na Polaka w przyszłości. Nasze stanowisko z punktu widzenia zagrożonych z wielu stron interesów Polski określamy w następujący sposób:

— Wszystkich i wszystko, co im sprzyja — popieramy.

— Wszystkich i wszystko, co im szkodzi — zwalczamy.

I z tego stanowiska, jeżeli Syonizm w „Odeskich nowostiach“ wyraża zdanie: „nacjonalizm rosyjski niezawsze personifikować się będzie w czarnych secinach, ich grubijaństwach, siekierą ciosanych sposobach ujarzmienia. Może się jeszcze urodzić nowe pokolenie polityków rosyjskich, bardzo subtelne i przebiegłe, zbrojne nie w pięść, lecz w zdolność odgadywania i kalkulowania i ludzie tego pokolenia mogą jeszcze na serjo zwrócić uwagę na to, że w Polsce jest półtora miljona Żydów, pokrzywdzonych i rozdrażnionych, na których oprzeć się można w interesach centralizacji państwowej“ — to my musimy kategorycznie oświadczyć, że wszystkich tych, którzyby na tę kalkulację przystali, będziemy nieubłaganie ścigać, bez względu na to czy będą nimi Żydzi, czy ktokolwiek inny.

W danym wypadku końcówka nazwiska, kolor włosów, linja nosa, pochodzenie i wyznanie, jest nam zupełnie obojętne — sprzymierzeniec unifikacyjnych dążności zaborców jest naszym śmiertelnym wrogiem, zwolennik naszych wolnościowych aspiracji — bratem.

Walczymy tu nie z Żydem, ale z poplecznikiem najazdu.

I jeżeli ci poplecznicy oskarżają nas o antysemityzm, to wyrządzają niedźwiedzią przysługę nie nam, ale poczuwającym się do obywatelskich obowiązków dla kraju, semitom, gdyż wywołują wrażenie jakoby germanofilstwo, lub rusofilstwo było tak nierozdzielnie sprzęgnięte z Żydostwem, że kto godzi w tamto, trafia w Żyda.

Przykrzejsze jest, gdy niektórzy z pośród asymilowanych Żydów we wszelkiej słusznej krytyce upatrują grę czynników antysemickich.

Przykre, ale zrozumiałe.

Proces asymilacji nawet jednostki odbywa się stopniowo, nikt się nie asymiluje z dnia na dzień, ale nasiąka kulturą narodu, w skład którego wchodzi, powoli, jak gąbka wodą.

Z tego względu muszą się znajdować niedostatecznie zasymilowani Żydzi o mocno jeszcze zakorzenionym poczuciu solidarności plemiennej i ich to właśnie, krytyka środowiska z którego wyszli boli, podobnie, jak wielu wyzwolonych z przesądów religijnych ludzi razi ośmieszanie tradycjonalnych obrzędów, miejsc szczególnie świętych, których czczenie stało się niewyplenionym nałogiem.

Najczęściej spotykanym argumentem w tego rodzaju dyskusji jest: „krytykując, mówicie „Żydzi“, uogólniacie zjawiska“.

Ale tego rodzaju uogólnienia werbalne są wprost nieuniknioną cechą sposobu wyrażania się.

Jeżeli używam wyrażenia: „stosunki Polaków i Rusinów w Galicji weszły w fazę nieubłaganej walki narodowościowej“ — ani Semen Wityk, ani Mikołaj Hankiewicz nie ma do mnie żalu, wie bowiem, że nie o nich mówię i pamiętam o ich życzliwych stosunkach z Hudecem i Hausnerem.

Jeżeli, powiadam separatystyczne tendencje żydowskie rosną do tego stopnia, że rozbijają nawet obozy socjalistyczne, to każdy rozumie, że niemam na myśli Hermana Diamanda.

Gdy konstatuję, że najazd Żydów z Cesarstwa wprowadza do polskiego organizmu żywioł mu obcy i często wrogi i że fakt ten wywiera pewien ujemny wpływ na usposobienia Żydów dawno osiadłych, to nie ujmuję przez to zasług znakomitemu historykowi polskiemu obecnej doby p. Askenazemu, lub członkowi zarządu towarzystwa kultury polskiej w Warszawie Dr. Kramsztykowi.

Mówimy: społeczeństwo polskie jest klerykalne, a żydowskie wprost zabobonne i, jakkolwiek nie wymieniamy wyjątków, każdy rozumie, jakie żywioły mamy na myśli.

Jako ludzie delikatni w prywatnych stosunkach uważamy za stosowne szanować tego rodzaju szczątkowe uczucia, omijając drażliwe tematy.

Ale gdy jako publicyści zabieramy głos w tych sprawach doniosłych, których zamilczenie byłoby polityką strusią — względy delikatności powinny ustąpić.

Dla publicysty szczerość i wypowiadanie swoich myśli do końca jest tym, czym dla żołnierza męstwo i bronienie swojej pozycji do ostatniego ładunku — sumiennym spełnieniem obowiązku.

M. DĄBROWSKI.

OBRAZKI Z BELGJI.

Bruksela 3 grudnia.

Grzebano niedawno u was sprawę kanałów. Argumentowano mądrze i poważnie. Aż mi się Thiers francuski przypomniał, kiedy nie chciał kolei żelaznych, dowodząc, iż pocztyliony i utrzymujący gospody zbankrutują z powodu przeprowadzenia dróg żelaznych.

Przecież w Galicji przeprowadzenie kanałów miało zabić komunikację kołową, ba nawet kolejową. Węgla miano za żadne skarby już kolejami nie wysyłać, jeno spławiać ów węgiel wodą.

No i trzeba się było poważnie namyśleć, czy istotnie w Galicji kanały nie zabiją kolei żelaznych. Postęp jest w tej Polsce widoczny.

Natomiast tu w Belgji, w tym „zacofanym pod względem komunikacyjnym kraju“, gdzie linje kolejowe najgęściej rozrzucono, a drogi bite słyną z porządku i wytrzymałości, zatwierdzono równocześnie z pogrzebem kanałów w Galicji, olbrzymie roboty wodne, mające na celu połączenie Mozy i Skaldy. Belgijczycy najzupełniej nie zdali sobie sprawy z doświadczenia w Galicji. Najważniejszym bowiem motywem, przemawiającym za rozszerzeniem dróg wodnych w Belgji był właśnie motyw szybszej i dogodniejszej komunikacji handlowej i przemysłowej wewnątrz kraju, między Leodjum w Wallonji i Antwerpją we Francji.

Już dziś kanał *Charleroi-Mons* właśnie węglowe zagłębie *Centre* obsługuje. Zaś kanały w Galicji miały ponoć zatamować wywóz węgla z Zagłębia Krakowskiego kolejami. Dziś rzeczą zdecydowaną jest w Belgji przedewszystkiem połączyć kanałami trzy węglowe prowincje: *Charleroi, Centre i Borinage,* choć prowincje te pokrywa gęsta sieć kolejek i kolei.

W prowincyi *Centre,* niedaleko *Jolimont,* stoi na jednym z kanałów monumentalna budowa, dziesiątki miljonów kosztująca — *l'ascenseur hydraulique.*

Zadaniem tego *ascenseur'u* jest na 15 metrów podnosić lub zniżać powierzchnię wody w kanale, a z nią przenosić statki ładowne. Od lat stoi bezczynnie. Lecz belgijczycy patrzą w przyszłość. Wiedzą, że niedługo, za lat kilkanaście, gdy Leodjum połączą z Maastriecht, z Antwerpią, miljony procentować będą sowicie.

Belgijczycy wydali 11,545.446 franków na jedną tamę olbrzymią, bynajmniej nie nad morzem swoim, jeno pod Verviers, w Wallonji, by uregulować drogi wodne...

* * *

Mija tydzień, jak Ernest Solvay, bogaty finansista tutejszy, ofiarował na ręce Emila Vandervelde 100.000 franków, aby Uniwersytet Ludowy przy Belgijskiej Partji Robotniczej utworzyć. Ernest Solvay zbudował w parku Leopolda prześliczny „Instytut“, wyposażył w laboratorja i przyrządy 3 fakultety miejscowego uniwersytetu. Za pieniądze Solvay'a zbudowano pierwszy *dirigeable* — Zeppelin belgijski...

Mija miesiąc, jak w Krakowie aresztowano bogatego finansistę — adwokata.

Przegrywał on setki tysięcy franków w karty. Chciał oszukać polską instytucję kas oszczędnościowych...

Rok, nie wiem już który mija, jak jeden z Potockich przegrał w klubie budapeszteńskim za jedną noc miljony koron. Dwa kraje — inni ludzie. I przykro, oh jak boleśnie przykro!

* * *

Na przedmieściu brukselskim *Ixelles,* w zatłoczonej sali, siedzi za stołem prezydjalnym wiecu studenckiego rektor uniwersytetu. Obok niego, redaktor dziennika socjalistycznego. Prowadzi obrady młody, zapalony studencik, który wprost kipi niena-

wiścią do burżuazji, będąc, oczywiście sam, synem kamienicznika...

Cercle des etudiants socialistes, otwiera swój rok szkolny.

„Przyjaciele moi,“ mówi rektor, „magnificencja“, honorowy dziekan prawnego fakultetu w berlińskim uniwersytecie, człowiek nauki europejskiej — „przyjaciele moi, dlaczegoż wy tak wymyślacie burżuazji, zwalczacie jej utopje, wyklinacie jej mieszczańską religję. Gdyby owa burżuazja, jak to przewodniczący zaznaczył, jeno religję miłości, równości i braterstwa głosiła, spełniłaby bardzo dużo na świecie. *Hélas!* Tak nie jest. I trudno, przyjacieje moi, określić dziś, kto do burżuazji należy. Ernest Solvay, Emil Verhaeren, Emil Vandervelde, mój przyjaciel, no i ja ostatecznie, według was, burżujami zwać się musimy. A my przecież pracujemy wszyscy, by lepiej i jaśniej było na świecie...

Cel ten jasno przed sobą widzieć, żadnego dogmatu nieuznawać — bo dogmat to niedola lub śmierć, wolność rzetelnej pracy naukowej zapewnić, oto moje i wasze zadanie.“

Tak mówił rektor uniwersytetu na zebraniu socjalistycznej młodzieży w 76-letnią rocznicę założenia uniwersytetu brukselskiego.

* * *

W 502-ą rocznicę istnienia uniwersytetu krakowskiego senat tegoż uniwersytetu, tak „mówił“ do młodzieży, manifestującej swe oburzenie na wykładzie szarlatana myśli naukowej, najemnika i niewolnika wieczystej reakcji przeciwko wolności wiedzy i badań:

„Ci, co przeszkodzili pierwszemu wykładowi ks. prof. Zimmermanna, podeptali godność nauki, podstawę bytu uniwersyteckiego.

Ich czyn wyszedł tak dalece poza granice zwyczajnych wykroczeń dyscyplinarnych, że dalsze postępowanie pozostawiamy sprawiedliwości sądów państwowych“.

Oh, wy, „magnificencje“, „ekscelencje“ przeróżne hr'y i ks'y, wy Jaszowscy, Łazarscy, dawni i dzisiejsi, jakże mi za was wstyd tu, w Belgji, jakże mi za was wstyd!

* * *

W dniu 25 listopada 1880 roku pisał Ludwik Bertrand, dzisiejszy poseł do parlamentu, autor dwuch dużych dzieł historycznych: „Do meetingu Socyalistów polskich w Genewie“.

Bracia!

W imieniu redakcyi »*Voix de l'Ouvrier*« (Głos Robotnika) i Brukselskiej Federacji Belgijskiej Partyi Robotniczej posyłamy Wam nasze bratnie pozdrowienie. Łączmy się bracia! Pracujmy a przyszłość do nas należeć będzie!

Niech żyje Polska! Niech żyje socjalizm międzynarodowy!“

* * *

Dziś w Genewie wygłasza właśnie w rocznicę listopadowego powstania pewien towarzysz z Polski, autor aforyzmu: „Polska to trup, który proletarjat po jej śmierci powstały kopnąć i odrzucić powinien“ — ciekawy odczyt o kwestji żydowskiej,

Tempora nobis non mutantur, sed nos mutamur in illis.



Dr. EDWARD LEWIŃSKI.

POLITYKA W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Jesteśmy w rozgwarze nadzwyczajnie ciekawje walki politycznej, mającej dla Stanów Zjednoczonych kapitalne znaczenie polityczne. Zewnętrznie nosi ona cechy zwykłej kampanii przedwyborczej. ale w gruncie rzeczy opiera się na daleko głębszym podłożu.

Już sam rozłam w republikańskiej partji, nowe ustosunkowanie się elementów w obu wielkich partjach, zwycięstwo demokratów w tradycyjnie republikańskim stanie Maine, socyalistyczny mer i cały zarząd miasta Milwauckee i wiele innych drobniejszych incydentów już tego dowodzi.

Rozpatrzmy niektóre czynniki tego zamętu i rozgardjaszu zblizka, a dojrzymy pewne dobrze zarysowane zasadnicze prądy społeczne.

MASZYNA POLITYCZNA „A BOSS“. — KAMPANJA WYBORCZA W NOWYM YORKU.

I.

„Maszyna polityczna“, to klucz do rozwiązania wszystkich nieomal anomalji amerykańskiego życia politycznego, to nieprzeparta tama postępu wszelkiego, to źródło korupcyi i złodziejstw. Niepodobna w ramkach jednego artykułu opisać jej działania. ale kilka słów zilustruje jej główne metody i cele. Otóż w każdym mieście lub miasteczku istnieje t. z. „boss“, t. j. jakiś kupiec zamożniejszy, czy adwokat, redaktor lub właściciel teatrzyku wodewilowego, ale najczęściej, najniezawodniej i najskuteczniej szynkarz, który przy pomocy kieliszka, cygara, posady tu i ówdzie, węgli zimową porą, ubrania i t. p. zależnie od rodzaju osób i ich potrzeb, zjednuje sobie pewne pokaźne minimum głosów dla danej partji politycznej, bez różnicy na zasady partji i osoby kandydatów. Będąc w posiadaniu tej absolutnie pewnej ilości głosów, wchodzi w konjuktury z partją i zależnie od wielkości swojej gwardji otrzymuje kompensatę. Więc żąda: postawienia kandydatury pana A. na urząd mera miasta, p. B. na posła do kongresu, p. C. na posła do Legislatury Stanowej, p. D. na prokuratora lub sędziego. Za to obiecuje tyle a tyle głosów. Motywy jego nie są zupełnie bezinteresowne. Od swoich bowiem kandydatów żąda następujących mniej więcej zapewnień: od A.. mera miasta: posady szefa policji dla swego brata lub kuzyna; skurbnika miejskiego dla swego szwagra lub kogoś, kto mu za to odpowiednio zapłaci, a drobniejsze urzędy pisarzy, stróży, zamiataczy ulic — dla „swoich ludzi“. Żąda również, żeby koncesye na tramwaje, telefony, na dostawę najróżniejszych materjałów po bajecznie wysokich cenach dano tym, kogo on wskaże i od kogo naturalnie odpowiednie otrzyma „honorarjum“.

Od posła do kongresu żąda: po 1-sze przyrzeczenia uzyskania funduszów na budowę absolutnie niepotrzebnego piątego mostu przez rzekę lub postawienia nowego gmachu poczty, by miejscowi kup-

cy mogli trochę i rząd federalny obskubać; po 2-e głosowania przeciwko wszelkim projektom prawnym, zmierzającym ku ograniczeniu wolności ruchu pewnych trustów (które swoją daninę bossowi w ofierze przyniosły) i po 3-e wystarania się o szereg większych i mniejszych posad dla „ludzi partyjnych“ etc. Warunki, jakie stawia „swoim“ kandydatom na inne urzędy są w tym samym rodzaju.

Dla sprężystszego działania partji w danym stanie istnieje maszyna stanowa, na której czele stoi „boss“ stanowy, zwykle człowiek wpływowszy i z doświadczeniem na szerszą skalę. Ten dyktuje kandydatów na urzędy gubernatora, senatorów federalnych i stanowych etc.

Przeciętny obywatel jest zupełnie bezsilnym. Może głosować za tą lub ową partją, to prawda; ale zawsze dla tej lub onej maszyny. Wybiera zawsze tę maszynę, której kandydat jest, jego zdaniem, godniejszym urzędu.

Na ogół maszyna demokratyczna stoi w Stanach Zjednoczonych na niższym poziomie moralnym od republikańskiej. Kontyngens jej armii regularnej rekrutuje się głównie z lumpenproletarjatu. którego nigdzie w wielkich miastach nie brak. Jest też ona w takich ośrodkach najsilniejsza. W Nowym Yorku całe okręgi wyborcze należą do Tammany Hall (tak się nazywa partya Demokratyczna w New Yorku). Okręgi te zamieszkane są wyłącznie przez pijaków, włóczęgi, chronicznie bezrobotnych i tym podobne indywidua, które przed wyborami Tammany Hall swoim kosztem utrzymuje, dając im w swoich hotelach darmo przez trzy tygodnie mieszkanie (minimalny okres zamieszkania przed wyborami, upoważniający do głosowania w danym okręgu). Szynkarze częstują wódką, zupą i cygarami: czasami biedna wdowa, mająca dorosłych synów, dostanie kilka korcy węgla lub kartofli; to znów bezrobotny wyrobnik, mający dużą roezinę, otrzyma z ramienia Tammany zajęcie, a jakiemuś tam jegomości, będącemu chwilowo w opałach natury kryminalnej, poślą adwokata etc. Naogół Tammany Hall nie zaniedbuje „swoich ludzi“, nie da im zginąć! O sprężystszą organizacyę — trudno.

Odwiecznymi posłami z tych okręgów są różne klany Sullivan'ów, Murphy'ch, Croker'ów i tym podobnych Irlandczyków, bo główną podstawą bytu „maszyn“ to synowie Erinu, najmniej sympatyczny element ludności amerykańskiej, który przez wieki pod batem angielskim nabył obrzydliwych niektórych cech charakteru, a olbrzymiego pędu do władzy. Od dwóch pokoleń już Stanami Zjednoczonymi rządzą Irlandczycy, ludzie o wielkiej solidarności rasowo-narodowej i wielkim sprycie organizacyjnym. Ale to nie należy w tej chwili do tematu.

Fakt zostaje faktem, że „maszyna“ jest wszechmocną. Człowiek, nie umiejący sobie zaskarbić łask „bossa“, nigdy żadnego urzędu nie otrzyma, a gdy otrzymawszy, pragnie wydobyć się zpod wpływu „bossa“, niechybnie kark skręci. Eks-mer Nowego Yorku, Mac Clellan i poseł Bourke Cockran dostarczają tego ciekawych przykładów. Pierwszy, człowiek zdolny i światły, znikl zupełnie z widowni, gdy zadarł się z „bossem“, a drugi, wybitny adwokat, mowca z bożej łaski, człowiek z wielką reputacyą, nie mógł otrzymać ponownej nominacyi, gdy mu tej eks-szynkarz Murphy nie chciał udzielić.

Nie dziw więc, że budząca się świadomość niemocy przeciętnego obywatela burzy się przeciwko „maszynie“.

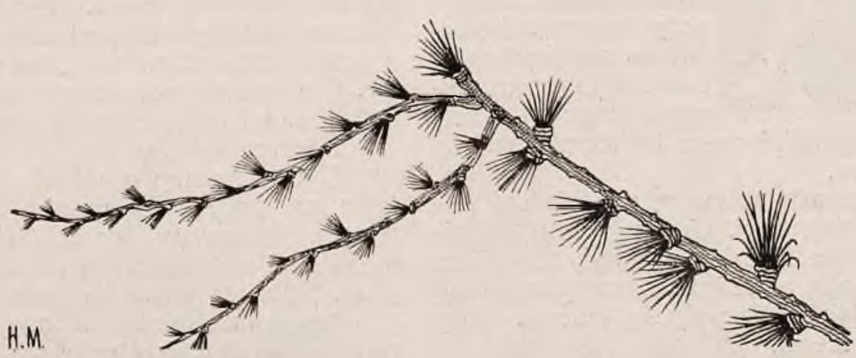
Roosevelt, odczytujący lepiej niż ktokolwiek inny stan barometru politycznego, stanął na czele ruchu przeciwmaszynowego, że tak go nazwę.

Zaraz po powrocie z tryumfalnego marszu poprzez gąszcze Afryki i dwory Europy rzucił się z całą wściekłością swojej prymitywnej natu w wir walki. Zaczął od popierania nowoyorskiego gubernatora Hughes'a w jego usiłowaniach o przeforsowanie bezpośrednich nominacyi kandydatów, ale poparcie to na nic się nie zdało. Sławną legislaturę nowoyorską nie tak łatwo o strach przyprawić i do reform zmusić! Ale i Roosevelt nie dał za wygraną. Przyjął to wyzwanie maszyny i gdy w końcu przeszłego miesiąca konwencya, mianująca kandydatów, zasiadała w Saratodze, Roosevelt, jako jeden z delegatów, pobił „starą gwardyę“, a sam, zakasawszy rękawy, puścił w ruch swoją maszynę. Zgładziwszy starych „bossów“, stał się panem sytuacyi, dyktatorem partji republikańskiej, do niedawna partji wielkiego kapitału, którego niektórych przedstawicieli Roosevelt w swojej nieskończonej obfitości mów znieważył i przestrzegł. Podniósł się tumult. Wielki kapitał nie może zezwolić na to, żeby Roosevelt był bossem w stanie nowoyorskim! Dosyć było go przez 7 lat prezydentury! Zbyt jest on zmienny, niepewny i nieobliczalny! I ciekawa rzecz. kapitał zużywa całej swej mocy na zwalczenie kandydatów własnej partji, tłumacząc to tym, że obecne zwycięstwo republikanów w Nowym Yorku zakończy się ponowną prezydenturą Roosevelta w r. 1912.

Protest wielkiego kapitału przeciw Rooseveltowi skierowany jest nie przeciwko jego osobie, jak to utrzymują jego przeciwnicy, która, rzeczywiście, jako taka, jest niekulturalnie rubaszna, ale przeciwko tej sile społecznej, która uwarunkowała dotychczasowe zwycięstwa Roosevelta.

Że taki prąd, przybierający tu taką, ówdzie inną formę, istnieje i nurtuje społeczeństwo, jest faktem niezaprzeczalnym. Roosevelt ze swym programem społecznym, t. z. neo-nacyonalizmem, rozszerzeniem dalszym władzy federalnej nad korporacjami, dobrami publicznymi etc. zupełnie świadomie go reprezentuje. Prąd ten znajduje drugie jeszcze ujście w innego rodzaju zjawisku społecznym, t. z. „insurgencji“. (Dok. nast.)

(Waszyngton.)



SAVITRI.

DLA NARODU.

Nie wytrzeźwiajcie wy mego narodu, —
Niech jak meteor męczeństwami krwawy
Wśród ciężkich, mętnych świateł korowodu
Mknie, jako symbol wiekuistej sprawy.

Nie wytrzeźwiajcie wy mego narodu —
Niechaj w rozdźwiękach zatoczystych szału
Niech w szarpaninach bolesnego głodu
Wyłoni z siebie postać ideału.

Nie wytrzeźwiajcie wy mego narodu —
Niechaj wielkości nie odda za sytość,
Ni przodownictwa w światłościach pochodu
Za próżnej, nędznej władzy znakomitość.

Nie wytrzeźwiajcie wy mego narodu —
Niech ponad ziemią rozwinąwszy bary
Krzyż wparty w krańce wschodu i zachodu
Podźwignie w imię cudu i ofiary!

Nie wytrzeźwiajcie wy mego narodu —
Niech, choćby ginąc, wielki bunt rozpali
I na ruinach przeklętego grodu
Zatknie swój sztandar i ludzkość ocali.



A. STRUG.

MOGIŁKA.

10)



Przyszła pora cieplejsza, jako przychodzi co roku o swoim czasie. — Poszarzały śniegi, pokruszały, wyszły na wierzch odziomki drzew wydobywały się z pod długiego ucisku połamane krzaki i młode pędy bukowe. Bełkotały na spadkach wiosenne strumyczki, wypijała ziemia resztę wilgoci. Wyjrzały najpierwsze kwiateczki, puściła się chybko trawa.

Odżyła i przeszła w cudną młodzieńczą zieloność czarna ściana lasu. Gęstniały, rosły, chciwie żerując młode buczki, walczyły z dzikim zielskiem i ze sobą nawzajem, przepychając się w ścisku o to życie. Zaczęły się radosne gody wszelkiego stworzenia.

Śpiewało ptactwo ponad porębą, buczały owady. Pracowały przychodzące z oddala pszczoły.

Przychodziły chyłkiem od gajowego gromadki dzieci po bujnie pleniące się na porębie jagody. Zdaleka okrążały złowrogi krzyż, trzymając się ze strachu za ręce. Za nic w świecie nie podeszłoby żadne bliżej jak o staję do strasznego miejsca, gdzie w szczerej pustce w niepoświęcanej ziemi leżą pomordowane „polaki“.

Trawa i wszelakie zielsko szybko ogarnęły już wyrównany kopczyk. Przyszła jesień i barwić się zaczęły buki, przykracał się dzień, leciał z drzew liść i ziarenka nasion siały się po świecie. Czepiało się wszystkiego babie lato, więdły łodygi ziół i traw, marniały kwiaty...

I tak co roku.

Szło wszystko o swojej porze. Zamierało życie na polanie co jesieni, odradzało się na wiosnę. Podrastały buczki. Szybko szły w górę te, których nasiona rzucił los na zapomnianą mogiłkę. Stała ich pośrodku polany znaczna kępa, górująca ponad resztą. Walczyły o miejsce, o życie młodsze drzewa. Dusiły się nawzajem, odbie-

rały sobie chleb i powietrze i światło słoneczne. Długo jeszcze sterczał w górze ponad młodo-drzewiem krzyż pochylony — aż zrównały się z nim potężniejące drzewa żywe, pod ziemią walczące korzenie wyparły go, jako martwą rzecz. Któregoś roku obalił się krzyż, spróchniał do szczętu w cieniu i wilgoci i wdeptało go w ziemię nieustające życie. Szły w głąb korzenie, szukając swojego żeru. Pożerały, co natrafiły popod ziemią, aż któregoś roku doszły do pogrzebanej od lat tajemnicy.

Któregoś roku przeszli przez gąszcz gajowy z panem nadleśniczym, nacechowali najdorodniejsze buki. Przyszli potem ludzie z siekierami podcinać w gąszczu marniejsze drzewiny, przyszli pomagać tym, które były mocniejsze.

Któregoś roku usłyszały rozrosłe drzewa dziwne odgłosy, które nie były ani głosami ptaków, ani owadów, ani żadnego zwierza leśnego. Nie był to ani plusk ulewy, ani wycie wiatru ani grzmot burzowy, ani też głos człowieka' który przemykał tędy zrzadka. ,

Zdaleka płynęły przenikliwe, złowrogie, donośne głosy. Płoszyły się ptaki, bacznie, nieufnie nadsłuchiwały, obracając się w tę stronę, wytrawne lisy. Szło przeciągłe, mocne gwizdanie, szedł za nim długo żelazny rumot i głuchy zgiełk. Po kilka razy na dzień przechodziły przez las tajemnicze łoskoty — a las powtarzał je za każdym razem posłusznie.

Wymarło pokolenie, dla którego było jeszcze „porębą“ to miejsce, gdzie szumiał o tej porze tęgi dorosły bór. Już w ziemię patrzali ci, co się porodzili pod znakiem klęski w onym nieszczęśliwym roku. Dźwigał na sobie każdy tę ciężką pamięć, jako niemiłosierne dziedzictwo. Całą swoją niedolą i niedolą dzieci swoich pamiętał tę krew ojcową, Ale nikt już tych czasów nie wspominał. Dawno zeszli z pola ukarani winowajcy. Cichuteńko żyli, cichuteńko, nieznacznie wymierali ci, którym dało się ujść cało. Nieśmiało wracali do kraju wygnańcy i z radością umierali na rodzonej ziemi.

Już im przebaczyli tę starą winę potomni. Ich zamiary, czyny, męczarnie zagrzebał szary powszedni dzień, pełen nowych trosk, nowych prac, nowych wielkich celów.

Nowa kolej pozyskała dla bogactwa narodowego daleką dziedzinę, szczerą pustkę, gdzie nadzwyczajne bogactwa leśne dopiero z otworzeniem nowoczesnej komunikacji stały się czymś realnym. A dalej — wszelkie oznaki węgla, a dalej — zupełnie sprawdzone pokłady rudy żelaznej, a dalej — glinka cementowa, glinka ogniotrwała...

Upadł pod siekierą las bukowy i pojechał w świat koleją. Kiedy się usunęła jego ściana — pokazały się kominy fabryczne, wiecznie dymiące, pokazało się wielkie przemysłowe miasto, które tymczasem wyrosło, a w którym nic już nie zostało z dawnej wioski, prócz ozdobnego i starannie utrzymywanego pomnika dla poległych za ojczyznę żołnierzy i oprócz dawnej nazwy. Do Namłotowa ściągali ludzie zewsząd po tę ciężką pracę i po ten ościsty chleb. Budowali szosy i koleje, murowali domy, zapełniali tłumami fabryki, kopalnie. Pobiegły w różne strony od miasta boczne odnogi żelazne. A kędy przeszła taka droga, wyrastał aż pod niebo komin, a gdzie raz stanął komin — śmierć i zniszczenia padało na wszystko, co chciało żyć wedle woli boskiej.

Puściły się były wnet buczki na nowej porębie. Rozrastały się bujnie, uparcie, niebacznie. Aż któregoś dnia letniego zaczęła się zapadać pod nimi ziemia, rwały się delikatne korzonki i młodociane drzewinki spadły w głęboką czeluść. Posuwała się linja robót, obsypywała się codzień ziemia i codzień ginęły drzewinki.

Któregoś popołudnia pracowali ludzie na spiekocie, zlani potem, złamani trudem i jak zbawienia wyczekując wieczora. Leniwie obracały się łopaty, ładując glinkę na wagonetki. Leniwie pokrzykiwał na nich dozorca, stojący pod parasolem. Nagle posypały się z góry wraz z darniną i ziemią jakieś kości. Potoczyła się żółta czaszka człowiecza, szczerząc zęby. Potoczyła się za nią druga — trzecia — piszczele, żebra — kręgosłupy.

Ustała robota. Sam dozorca podszedł patrzeć. Obstąpili ludzie wokoło te stare resztki.

— Dziura w czole wybita. To od kuli...

— Pod okiem kość przebita...

— To po jakiejś bitwie...

— Ale po jakiej...

— Mało się ludzie to mordowały od początku świata...

Patrzeli w górę robotnicy, gdzie na sam brzeg wyszedł jeden, żeby odgrzebać i zepchnąć na dół, co tam jeszcze zostało w starym grobie.

Spadały kości raz po razu, zsuwały się czaszki po pochyłości i zataczały się daleko. Zgromadzono to do kupy, naliczono dwadzieścia głów.

Gapił się na to i stary dziadyga — który prowadził konia przy wagonikach.

Stanął, patrzył razem z innymi, a kiedy się już napatrzył, zawołał:

— Wiem, wiem. To z powstania. Tu na porębie były tyż zakopane. Prawdę powiadam! Tego dnia — było na jesieni, rodzony syn mnie przepadł, jak kamień we wodę. Jak tu jeszcze około nic nie było, ino te lasy, lasy...

Dozorca gnał do roboty, ale ludzie odsłonili głowy i stali w milczeniu.



STANISŁAW BACZYŃSKI.

FILOZOFJA A ŻYCIE.

Będziemy się zastanawiali nad filozofją nie w szczególności, to znaczy pominiemy pojedyncze systematy myślowe, lecz nad filozofją wogóle, jako wytworem inteligiencji ludzkiej, bez ograniczeń czasowych, przestrzennych itp.

Idzie nam bowiem o odpowiedź na pytanie, czym jest filozofja jako taka i jaką rolę spełnia w życiu stwarzającego ją osobnika. Kusić się o wyznaczanie jej celów, dróg wytycznych byłoby objawem nie tylko zarozumiałości, lecz i despotyzmu, gdyż okazywałaby się tu chęć narzucenia powszechnego, oznaczonego z góry celu wszelkim objawom myślenia o rzeczach, a takie dogmatyzowanie w niczym nieskrępowanym objawie inteligiencji ludzkiej, jakim jest filozofja, nie ma najmniejszej racji. Filozofji nie kreśli granic jednostka, lecz j e d n o s t k i, w swym jednostkowo różnym zakresie i wyłącznie w odniesieniu do siebie; o tyle też te ograniczenia są wartościowe i obowiązujące.

Wobec różnorodności prądów w filozofji współczesnej, z których część większa wskazuje na zwrot w kierunku jeszcze do niedawna pogardzanych systemów przeszłości, jesteśmy zdania, że wyjaśnienie okazuje się koniecznym. Pytanie cisnące się na usta powszechnie: kto mówi prawdę? komu wierzyć? itd. może każdy zaspokoić odpowiedzią własną. Nikomu nie wierzyć! Wszyscy mówią prawdę, lecz każdy swoją, taka jaka mu jego umysłowości najlepiej odpowiada.

Wierzyć sobie. Gdyby bowiem filozofja mogła dać swe ostatnie słowo, równałoby się to podciągnięciu wszystkich ludzi pod jeden ogólny miernik uznaniu zdolności, wiedzy, podkładu psychicznego wszystkich ludzi za równe. Tak jednak nie jest.

Nie tylko masy dyletantów, lecz i filozofowie oficjalni popierają i rozpowszechniają mniemanie, że filozofja, to nauka dająca w formie ogólnego abstrakcyjnego myślenia, odpowiedzi na kwestje natury myślowej nasuwające się w życiu. Że zbiera i powinna zbierać plony nauk szczegółowych, stwarzając w formie uogólnienia, syntetyczne pojęcie o świecie. Rola jej odbiega od życia praktycznego, nie daje rzeczywistości codziennej niczego z wyjątkiem zaspokojenia potrzeby poznawczej.

W ten sposób dochodzi się do określania filozofji, jako nauki samej w sobie, mającej jakieś fikcyjne dążenie do prawdy za cel, oderwanej od naszej jednostkowej rzeczywistości, zaspakajającej jedynie postulaty naszego rozumu. Sama też nazwa wskazuje na podobne traktowanie przedmiotu; φιλοσοφία, φιλοσοφεῖν oznacza bowiem czynność zamykającą się ściśle w ramach naukowych, myślowych.

Definicje filozofji spotykane często w podręcznikach wstępów do filozofji, czy też w dziełach historycznie ujmujących przedmiot, określają ją zawsze jako abstrakcyjne ujęcie wiedzy niższego rzędu, opartej na danych nauk szczegółowych. Organem jej jest rozum a wyniki mogą się jedynie w jego obrębie zamykać. Zrozumiałym jest, że określenie to podawane w większej części przez historyków filozofji zawdzięczają swe podobieństwo jednemu tematowi, który nie pozwala na teorje-poznawcze roztrząsania, lecz wymaga definicji ogólnej, opartej na historji. Inaczej określi ją twórca systemu posiadający zadanie myślowo-twórcze (co będzie bezwarunkowo wpływało na samo określenie przedmiotu). My zaś będziemy rozpatrywali w szczególności ten drugi wypadek. Idzie nam bowiem, jak powiedziałem, nie o to, co przypisywano filozofji i co jej dotychczas przypisują, lecz czym ona jest w swej istocie, w genezie.

Nowsze współczesne prądy filozoficzne wnikają już całkiem wyraźnie w stosunek zachodzący między naszą podmiotową bytnością a poznawczymi postulatami. Mach i empirjo-krytycy uważają filozofję za naukę o metodzie ekonomicznego myślenia. Z drugiej strony pragmatyści James, Dewey i i. stawiają jej cele praktyczne i postulaty żądające od niej wprowadzenia w życie rzeczywiste. Sądy wedle nich są poszukiwaniem p r a k t y c z n y c h k o n s e k w e n c j i, abstrakcje i absolut są b e z w a r t o ś c i o w y m i w y n a l a z k a m i; c z y n s t a n o w i g r u n t w s z y s t k i e g o.

Teorja to środek do celów realnych. James w pojęciu utylitarnej wartości nie wiele odbiega od Kanta a zarazem od idealizmu. To co u niego nazywa się wyobrażeniem abstrakcyjnym, jest prawie że równoznaczne — z mniejszą ilością dogmatyzmu — z ideałem transcedentalnym Kanta. Praktyczne ma więc znaczenie odpowiednika abstrakcyjnych wyobrażeń. Podobne kryterjum wartości spotykamy u etycznego idealisty Lippsa: „Wartość jest osobową; wartość, którą osoba nie przez coś, co przez nią zostało wywołanym zyskuje, lecz którą ma, posiada lub też nosi w sobie“*).

Zrobiliśmy tę małą wycieczkę w kierunku zagadnienia wartości, by zaraz z miejsca wykazać pojmowanie praktycznego postulatu w pragmatyźmie. Pojęcie bowiem wartości jest tu zidentyfikowane z praktycznym. Zaznaczyć należy, że James mimo pokrewieństwa z Lippsem, odbiega daleko od indywidualizmu tego drugiego, zabarwiając swe pojęcie abstrakcyjne treścią amerykanizmu, podaną w ściśle dogmatyczny sposób. To też formalnie można przeprowadzać analogję, faktycznie zaś nie. Lipps jest bowiem wyznawcą jednostkowego, indywidualnego wartościowania, a jego ideał to forma, w którą każdy wkłada treść odpowiadającą sobie. Z biegiem tedy czasu filozofja i jej określenia przyjmują coraz bardziej charakter utylitarystyczny. Utylitaryzm ten ma swoje różne strony. U idealistów ma podstawę w odpowiadaniu ideałom, u pozytywistów zaś polega na odczuciu i t. d. Jednak nawet tam, gdzie chowa się go pod płaszczyk świętości i bezinteresowności poznania ukazuje się zawsze, bo nawet zaspakajanie żądzy poznania można nazwać mianem utylitaryzmu. Począwszy od Platona a skończywszy na filozofji wartości Münsteberga, lub filozofji norm Windelbanda wije się nuta pragmatyzmu przez całą historję myślenia.

Najkrańcowszy wyraz znajduje się u Jamesa, odrzucającego bezwzględnie wszelki balast abstraktów i absolutów, powiadającego że — „skoro byłby moment w naszym życiu bez znaczenia w praktyce, to nie byłby on ważnym“. Widzimy tedy, że wszystkie dotychczasowe systematy kojarzyły określenia filozofji z celem, który jej stawiano, pytano prócz tego czym jest filozofja, także jakie są jej zadania, do czego prowadzi. Określano ją zwykle ze stanowiska subjektywnego, to znaczy modelowano definicję z wzorów powszechnych i historycznych.

Nam zaś idzie nie o to, jak historycznie da się ująć ta rzecz, lecz czym jest filozofja wogóle, jako objaw inteligiencji, myślenia i jaką funkcję spełnia w życiu człowieka, słowem czym jest ona ze stanowiska psychologicznego.

Jesteśmy samotni w świecie zjawisk. Wszystko co wiemy, wiemy z świadectwa naszych zmysłów

---

*) Lipps: Ethische Grundfragen.
**) William James: Religiöse Erfahrung.

i wewnętrznego doświadczenia. Filozofowanie i filozofja okazują się zjawiskami należącymi ściśle do naszej wewnętrznej rzeczywistości, które są umotywowane tysiącem, danej jednostce tylko właściwych cech jakościowych i ilościowych, tak dalece, że różnice zachodzące między mną a każdym innym człowiekiem odnoszą się nietylko do treści myślenia, lecz i do sposobu ujmowania. Myśli j e g o i myśli m o j e mają zupełnie odrębny podkład treści, a więc zrozumienie się jest wykluczone. Jest to to, co Bergson i Weininger powiedzieli, że dla zrozumienia drugiego człowieka trzebaby być nim, dla zrozumienia wirowego pędu koła trzebaby być tym kołem.

Wszelkie poznawanie jest swoiste, to znaczy jest własnością indywidualną. Filozofja nie posiada reguł w prawach przyrody, lecz istnieje jako funkcja metodyczna, układ myślowy wyobrażeń poszczególnych, podciągniętych pod pojęcia ogólne, abstrakcje. Dlatego to mogła się rozwinąć od chwili, gdy powstała konieczność i odpowiednia zdolność abstrahowania. Poprzedziła ją religja, stanowiąca pierwszy punkt rozwoju w dziejach myśli. Świat wrażeń dobywał z rodzimego kruszcu pierwotnego człowieka zaczątki zdolności abstrahowania i tam je rozwijał; pierwszym objawem tej zdolności jest łączenie grup zjawisk podobnych w pojęciu boga, w formie jednakowoż wymagającej, wskutek słabej świadomości, uzewnętrznienia. Rzutowanie własnych abstrakcji na zewnątrz, ich personifikacja, to moment narodzin każdej religji. Taką drogą ciągłego kojarzenia przychodzi umysł ludzki do coraz to wyższych abstraktów, aż w końcu stwarza pojęcie jedności, a tu ma swe źródło monoteizm, panteizm i t. d. Wreszcie oddziela abstrakty od form zewnętrznych, jakimi są systemy religijne i ich założenia i pozostaje sam człowiek i świat zawarty w jego duszy, świat wrażeń, wyobrażeń i pojęć. Dlatego to wszelkie filozofowanie zaczyna się od wątpienia, nie tylko kartezjańskie. Pierwszy filozof był człowiekiem, który odrzucił wiarę w pojęcia i zaczął je sceptycznie roztrząsać. Zwątpił w realne istnienie konsekwencji swego myślenia.

Łączność filozofji z religją datuje się od zarania ludzkości. Badania etnograficzne i folklorystyczne wskazują, że religja była czymś identycznym z filozofją, z myślą o świecie. Świat mitów, zawrotnych fantazji, oto filozofja pierwotna płynąca z duszy tęskniącej do jasności. Świat ten fantazji był bytem realnym, był tak samo tłumaczeniem różnorodności zjawisk formą abstrakcyjną, spersonifikowaną. W ten sposób powstało pojęcie boga i inne postulaty metafizyczne. Bóg Inda czy Chińczyka, to wprawdzie przedmiot wiary, lecz wzięty jako idea filozoficzna jest niczym innym, jak metodologicznym pojęciem orjentacyjnym lub też formą, w którą wkładamy wszelką myśl o świecie. Tak też każdy abstrakt jest czymś wprawdzie koniecznym w myślenin, lecz nie przedstawiającym wartości bezpośredniej, nie może wpływać na tok życia wrażeniowego, a spełnia jedynie funkcje formalne.

Filozofja jest objawem ściśle związanym z naszą umysłowością, a wyeliminować jej nie możemy dopóki istnieje poznawanie, jest ona bowiem jego nieodłącznym czynnikiem. Nasuwa się teraz pytanie, czy filozofję można nazwać, jak to się powszechnie czyni, nauką oficjalną, powszechną. Jak okazało się z poprzedniego, filozofja jest zjawiskiem psychicznym koniecznym do rozumienia świata. Treścią pojęć nie jest, gdyż te zawsze są elementami bezpośredniego doświadczenia, jest zatym ich formą. Jeśli forma ta jest powszechną, obowiązującą wszystkich, jeśli tkwi w istocie naszej psychiki, jest jak chcą racjonaliści czymś apriorycznym i równym powszechnie, to w takim razie filozofja jest czymś powszechnym. Jak przekonaliśmy się w historycznej części, filozofja nie jest jako forma ujmowania świata obowiązującą, lecz nawet czasem wprost krańcowo różną. Następnie, wziąwszy psychologicznie, świat załamuje się w naszej odrębnej psychice, różnej nie tylko jednostkowo, lecz i pod względem jakościowych cech od innych, a wskutek tego forma ujęcia jest różna. W końcu, jak powiedzieliśmy dawniej, gdyby nawet forma ujmowanie świata była zupełnie równa, to treść i jednostkowa różnica zamknęłyby nam wrota do powszechnego poznania, gdyż w rozumieniu jest koniecznym postulat identyczności. Poznanie jest właściwością wszystkich ludzi, nie tylko pewnej ich części, jest w każdym z tych ludzi odrębne, swoiste, indywidualnie różne; ilustruje to nietylko historja myśli, lecz i zwykłe doswiadczenie codzienne. Nauka nie może zacieśniać swych badań w skończoność, gdyż ustalonych, ogólnie przyjętych kryterjów nie posiada. Ponieważ nie możemy nigdy sprowadzić wyników badań do jedności, którąby była ogólnie przyjętym sprawdzianem, upada prawo podawania w wiarę powszechną badań i zamykać się muszą one w światopoglądzie indywidualnym. Poincaré szuka ratunku w matematyce, lecz i tu go nie znajduje, ponieważ i w tym wypadku istnieją różnice w ujmowaniu prawd matematycznych. Widzimy tu umysły analityczne i gieometryczne, pojmujące w zupełnie odrębny sposób matematykę.

Filozofja jest formą ujmowania świata. To znaczy, jest kojarzeniem zjawisk rzeczywistości bezpośredniej w formie abstraktów, którymi operuje. Treścią jest życie w szczegółowych swych przejawach; wrażenia i wyobrażenia są więc podkładem psychicznym, na którym powstaje myśl. Myśl jest koniecznością wewnętrzną, a ten ścisły stosunek myślenia do naszej bezpośredniej rzeczywistości, do tego co potocznie nazywamy światem, jest przyczyną, że nie możemy obejść się bez kategorji filozoficznych w życiu. Stanowią one formę, w którą musimy wkładać przeżytą treść, dla zachowania ciągłości swego bytu; utrzymują w równowadze nasze postępowanie i każdy czyn.

Powinniśmy się wystrzegać zacieśniania pojęcia filozofji do historycznego jej rozwoju, gdyż rozbija się ona na tysiące istnień szczegółowych, nie księgi są bowiem filozofją, raczej są poszczególnym aktem filozofowania. Można nazwać wprawdzie filozofją zbiór zszeregowanych pojęć, podciągnięty pod ustalone formy i zgromadzony w książkach, lecz będzie to zawsze filozofja jednostki, nie obowiązująca ogółu, mająca dlań znaczenie pustej formy, której treść kryła się, czy kryje w duszy twórcy. Prawdziwą filozofją jest filozofja żywa, idąca równolegle z potrzebami i rozwojem życia, której słabą zaledwie odbitką jest system czy coś podobnego. Ta filozofja żywa musi czerpać treść swą z przeżyć każdego człowieka. Sama zaś jako funkcja psychiczna ma zasadę nie celowości na oku, lecz odpowiedniość i harmonję zestawiania form swych z światem empirycznym. Nie może dociekać prawdy, gdyż o ile stoi w harmonijnym związku jako forma z naszym bezpośrednim poznaniem, jako treścią, tym samym jest prawdą. To usunięcie celu zewnętrznego, prawdy, nie obala jej wcale, owszem gruntuje ją na najważniejszym punkcie życia, na rubieżach światopoglądu.

Filozofja nie składa się z ksiąg oficjalnych, nie jest Pismem świętym, nie podaje żadnych prawd do wierzenia, a to, co nazywamy powszechnie jej mianem, jest tylko i wyłącznie zbiorem światopoglądów ludzkich, historją kultury umysłowej człowieka. Ona zaś sama wiecznie obecna w tysiącach dusz, wiecznie żywa, nie zważając na napaści antimetafizyczne, antiidealistyczne i tp. prawdy, panuje w życiu, jak zawsze. Żyje w nas i wymaga od nas, byśmy żyli w niej. Nie miejcie cudzych bogów przedemną, która jestem w was!

Nie wolno nam z jej zakresu wyłączać żadnego odrębnego od dotychczasowych światopoglądu; jest ona bowiem czymś przysługującym każdemu myślącemu człowiekowi. Nie twierdzę, jakoby bez znajomości nauk można zostać filozofem. Owszem, nauki szczegółowe wzbogacają nasze formy myślowe, porządkując rzeczywistość, dają możność wchłaniania bogatszej treści, lecz idzie nam tu o zaznaczenie różnic, panujących powszechnie w zakresie wykształcenia. Idzie o obalenie tego oficjalnego maximum mającego cechować oficjalnego filozofa. Jako forma myślenia, rozważania świata jest rozmaitą i dlatego to panuje taka rozmaitość w światopoglądach filozoficznych. Jest odpowiednikiem czysto formalnym naszej subjektywnej treści, a więc kryterjów powszechnie obowiązujących nie ma. To ostatnie skłania, a raczej wskazuje nam drogę, którą powinniśmy pójść w tworzeniu światopoglądu, a tą jest filozofja życia niekoniecznie powiązana w system, lecz odnosząca się wprost do potrzeb i wymagań osobistych, jakoteż społecznych. Nie może, jak powiedzieliśmy, dawać treści ideałom, ponieważ jest ich formą jedynie, lecz jako funkcja formalna pomaga nam w orjentowaniu się w życiu własnym osobistym i zbiorowym.

Ta postponowana przez oficjalnych filozofów „Lebensphilosophie" zjawia się w ciągłych nawrotach i zyskuje coraz to możniejszą przewagę w życiu osobników nieskrępowanych dogmatem i regułą. Emerson, Nietsche, Maeterlink, Tołstoj, Marek Guyau i i. oto kagańce wolności wewnętrznej rozświetlające drogę wśród przepaści życia. Ich światopogląd, jak światopogląd Kanta czy Hume'a, jest faktem zaszłym w życiu, koniecznością, lecz prócz tego, jako funkcja życiowa, ma wartość bezpośrednią, praktyczną, opartą na harmonji wewnętrznej, zrozumienia siebie, gdy droga do zrozumienia innych zamknięta. Każdy w sobie niech buduje gmach o silnych podwalinach, by mógł być silnym i ostać się sam. Będzie to hasłem naszej swobody wewnętrznej, gdy filozofja, jako forma ujmowania rzeczy, skojarzy je jak najściślej i stworzy ideały konkretne, treścią tkwiące w życiu praktycznym i doświadczeniu, formą zaś w naszych psychicznych uzdolnieniach.

Dr. WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ.

JAK BELGJA STAŁA SIĘ PAŃSTWEM.

III. Wśród powszechnego wrzenia umysłów w lipcu 1830 r. gruchnęła wieść o zwycięzkiej rewolucji w Paryżu, gdzie lud położył kres panowaniu przywróconej przez obce wojska arystokracji, wypędzając z kraju ostatniego króla ze krwi Ludwika XIV. Wrażenie było potężne; a do korzystania z niego nadarzyła się wyborna sposobność, bo dnia 24. sierpnia 1830 r. miano w Brukseli uroczyście obchodzić urodziny króla. Z obchodem łączyła się wystawa przemysłowa. Król przybył do Brukseli, tłumy gości napływały do miasta, robiło się rojno i gwarno. Wtedy to przywódcy Unji belgijskiej (a między nimi w pierwszym rzędzie Aleksander Gendebien, ten sam, którego w późniejszych latach ścisłe stosunki przyjaźni z polskimi rewolucjonistami łączyć miały) postanowili rozpocząć powstanie nazajutrz po urodzinach królewskich. Po rogach ulic rozlepiono afisze wystylizowane z owym zawadjackim humorem, do dziś dnia właściwym Brukselczykom: „W poniedziałek 23. sierpnia, sztuczne ognie, we wtorek 24. sierpnia, illuminacja; we środę 25. sierpnia, rewolucja!" Rząd jakoś wstydził się brać na serjo te zabawne afisze; nakazał tylko illuminację, ale wbrew woli gubernatora nie wzmocnił załogi. Nie bronił też grać w teatrze we środę wieczorem zakazanej do niedawna opery Aubera: „Niema dziewczyna z Portici", której treść stanowi powstanie ludu neapolitańskiego przeciw najeźdzcom hiszpańskim. I to powstanie na scenie stało się hasłem do powstania w mieście. Kiedy na scenie rybak Masaniello, pomściwszy krzywdę wyrządzoną niemej swej siostrze przez Hiszpana, stanął na czele ludu i wypędził Hiszpanów z Neapolu — wśród widzów odezwały się okrzyki: „Uczyńmy jak Francuzi! Tłym wybiegł na ulicę, rzucił się na redakcję gadzinowej gazety rządowej, oraz na dom znienawidzonego ministra Van Maanen i oba te budynki spalił. We czwartek palono cyrkuły policyjne, w piątek wywieszono sztandar ziemi brabanckiej. czerwono-żółto-czarny. Do powstania przyłączyła się i zamożna klasa mieszczańska i szlachta; zorganizowano milicję miejską pod komendą barona Hoogvorst i byłego porucznika Pletinckx, poczem zwołano zgromadzenie notablów z całej Belgji. Wobec umiarkowanej postawy tego zgromadzenia, król ośmielił się posłać tam najstarszego swego syna jako pośrednika. Stanęło na tym, że król, odprawiwszy Van Maanen'a, zwołał parlament niderlandzkj do Hagi celem narad nad separacją obu krajów, z zachowaniem personalnej tylko unji. Podłą pułapką była ta obietnica królewska; podczas gdy w Hadze parlament obradował, młodszy syn króla, książe Fryderyk, na czele dziesięciu tysięcy żołnierzy wkroczył do Brukseli. Znalazł Górne miasto otwarte i zajął je; ale kiedy chciał zająć rojące się od ludności Dolne miasto, zastał je zabarykadowane i strzeżone przez milicję miejską, wzmocniona przez ochotników z prowincji. Tydzień cały trwała krwawa walka uliczna; wkońcu w nocy z 26 na 27 września pobity królewicz się cofnął. Władzę nad miastem oswobodzonym objął rząd tymczasowy, na czele którego stanął w tryumfie wracający wygnaniec, Ludwik de Potter. Na wezwanie tego rządu pułki belgijskie, stanowiące załogę rodzinnych swoich miast i prowincyj, przyłączyły się do powstania. W ciągu kilku dni Belgja cała, z wyjątkiem miasta Antwerpji oraz trzech czy czterech fortec, została oczyszczoną od najazdu. Dnia 4. października 1830r. rząd tymczasowy ogłosił, że ziemie belgijskie, przemocą oderwane od Holandji, stanowią odtąd pań-

stwo niepodległe, tudzież, że wkrótce będzie zwołany kongres narodowy. Trzy tygodnie później powstańcy zdobyli miasto Antwerpję; holenderski jenerał cofnął się do cytadeli, skąd bombardował miasto. Ta cytadela, oraz graniczne miasto warowne Luksemburg, o ludności niemieckiej — oto wszystko, co królowi Wilhelmowi z Belgji pozostało.

Belgijski kongres narodowy, uroczyście otwarty w Brukseli dnia 10 listopada 1830 r., ogłosił Belgję niepodległą monarchją konstytucyjną, poczym opracował konstytucję o wiele bardziej postępową niż holenderska. Podczas gdy w Holandji członków Izby wyższej mianował król, w Belgji od początku obie Izby były wybieralne; podczas gdy w Holandji skład Izby niższej był wynikiem potrójnych wyborów pośrednich, w Belgji Izbę niższą wybierano bezpośrednio. Podczas gdy w Holandji ministrowie odpowiedzialnymi byli wyłącznie przed królem, w Belgji zaprowadzono odpowiedzialność ministrów przed parlamentem. Podczas gdy w Holandji kontrola parlamentu nad budżetem była bardzo ograniczoną, w Belgji corocznie cały budżet musiał być przedyskutowanym i uchwalonym przez parlament, i to najprzód przez Izbę posłów, potym dopiero przez senat. Tak samo w nowo założonym państwie belgijskim wszelki pobór rekruta musiał być najprzód uchwalony przez Izbę posłów, zanim przeszedł pod obrady senatu. W dziedzinie sądownictwa przywrócono sądy przysięgłe. Nadto nowa konstytucja urzeczywistniła żądaną Unję belgijską, „swobodę we wszystkim i dla wszystkich": zabezpieczyła mianowicie swobodę osobistą, swobodę dla przesiedlenia się, swobodę prasy, zgromadzeń, stowarzyszeń, swobodę wyznań, oraz swobodę nauczania, tudzież swobodę języka.

Oczywista, że reakcyjne mocarstwa Świętego przymierza mocno były niezadowolone z obalenia ich dzieła przez powstańców belgijskich. Nie brakło im chęci do zbrojnej interwencji. Ale Austrja była zajęta groźnym dla niej powstaniem we Włoszech. Car moskiewski zaś i król Polski konstytucyjnej, Mikołaj I, zdecydowany był wkroczyć do Belgji; plan był już gotów i podpisanym już był dekret, wysyłający polskie wojsko poprzez Niemcy na zachód celem zduszenia „kramoły" w Brukseli. Ale odpowiedzią na tę próbę haniebnego nadużycia polskich sił zbrojnych był wybuch polskiego powstania listopadowego. Pozostały więc tylko Prusy, a te się lękały działać bez niczyjego poparcia, szczególnie wobec groźby francuskiego ambasadora, że jeśli pruskie wojsko wkroczy do Belgji od północy, to francuska armja wkroczy od południa: tak więc wsteczne mocarstwa Świętego Przymierza były ubezwładnione, a natomiast wolną rękę miały przychylne dla Belgji mocarstwa zachodnie: Francja i Anglja. Na ich propozycję zwołana zosłała do Londynu konferencja dyplomatycznych przedstawicieli pięciu mocarstw: Francji, Anglji, Prus, Rosji i Austrji. Konferencja ta obu stronom walczącym narzuciła zawieszenie broni, poczym przeszła do szczegółowych narad o wszystkich kwestjach spornych; dnia 20. grudnia 1830 r. uznała Belgję za niepodległą.

Mógł tedy belgijski kongres narodowy już z większym nieco spokojem kończyć swoje prace ustawodawcze. Do zakresu tych prac wchodziło także (wobec tego, że wnioski republikańskie nie uzyskały większości) trudne a drażliwe zadanie wyboru króla. W początku wybrano młodszego syna francuskiego króla Ludwika Filipa, siedemnastoletniego księcia Nemours; jemu jednak ze względu na zawiść innych mocarstw, które w tym wyborze upatrywały uzależnienie nowego państwa od Francji, ojciec nie pozwolił przyjąć korony. Ostatecznie wybrany został Leopold książe koburski, człowiek dojrzałego wieku, zdolny i doświadczony, nie będący członkiem żadnej z wielkich dynastyj europejskich, ale utrzymujący dobre stosunki z wszystkimi. Zaraz na wstępie okazał się biegłym dyplomatą; albowiem, drożąc się, osiągnął od konferencji londyńskiej znaczne modyfikacje jej uchwał na korzyść Belgji, tak pod względem finansowym jak i terytorjalnym. Sukcesy te, chociaż cenne, miały jednak tę złą stronę, że zaprzątnięci dyplomatycznymi zabiegami Belgijczycy zanadto zaniedbali sprawy wojskowe. Zemściło się to, bo po upływie zawieszenia broni wojsko holenderskie wkroczyło do kraju i zadało Belgijczykom dotkliwe klęski. Na szczęście wmięszała się do sprawy Francja, ta sama Francja, dla upokorzenia której niegdyś w 1815 r. mocarstwa przyłączyły ziemie belgijskie do Holandji, a dla której oderwanie Belgji było choć częściową naprawą owej dawnej klęski. Wkroczyła armja francuska, wielekroć silniejsza od holenderskiej i belgijskiej razem wziętych; samo jej zjawienie się wystarczyło, aby nakłonić Holendrów do cofnięcia się aż po granicę. Niestety, nad samą granicą leżała perła Belgji — Antwerpja. Stamtąd Holendrzy dobrowolnie wycofać się nie chcieli. Dopiero w następnym roku (1832) wojsko francuskie zdobyło Antwerpję i oddało ją w ręce władz belgijskich. Tymczasem jednak dyplomaci, radzący w Londynie, wyciągnęli konsekwencję ze słabości wojennej Belgji, uszczuplając granice jej ku wschodowi; wtenczas to wschodnia część ziemi limburskiej została przyznaną Holandji, a wschodnia, przez Niemców zaludniona część ziemi luksemburskiej stała się odrębnym księstwem, unją osobową z Holandją połączonym*).

Mimo tego lekkiego uszczuplenia granic jednak Belgja pozostała żywotną i żyje do dziś dnia. Wiecznie żyć nie będzie, bo nie jest narodowo jednolitą; na razie jednak, mimo ostrych nieraz starć między żywiołem francuskim a flamandzkim, na rozkład Belgji jeszcze się nie zanosi. Przeciwnie, mimo że Belgja w chwili założenia miała tylko 3½ miljona ludności, a i dzisiaj ma dopiero 7½ miljona mieszkańców (czyli nie więcej niż miasto Londyn, a znacznie mniej niż Galicja) — małe to państwo w dziedzinie postępu politycznego, społecznego i kulturalnego dotrzymuje kroku większości państw europejskich. Jest to jeden z najbardziej przemysłowych krajów w Europie; rozwija się tam imponująco i kapitalizm i proletarjat, a Międzynarodowe Biuro Socjalistyczne ma swą siedzibę w stolicy Belgji.

*) Jak wiadomo, unja ta została zerwana w 1890 r. Dzisiaj Wielkie księstwo luksemburskie jest obok królestwa czarnogórskiego najmniejszym z niepodległych państw, liczy około ćwierć miljona mieszkańców, czyli nieco więcej niż Wielki Kraków z Podgórzem i Płaszowem.





BRUNON KOSTECKI.

WOJNA W DOBIE DZISIEJSZEJ.

(KAPITAN ALFRED MAYER: WOJNA W DOBIE DZISIEJSZEJ, TŁUM. M. MARKOWSKA).

Wraz z uspołecznianiem się polityki państwowej uspołecznia się jej najbardziej efektowny i wymowny argument — wojna. To znaczy, że ciężar orężnych zapasów z wrogiem i skutki ich spadają wyraźnie i dotkliwie na barki każdego obywatela. Niema w narodzie żadnej grupy czy klasy ludzi — z wyjątkiem rosyjskich intendentów— którаby mogła obojętnie patrzeć na klęskę swojego rządu. Cieszy się z niej wprawdzie opozycja, ale uczucie to nie wpływa bynajmniej na fakt, że masy opozycyjne cierpią więcej na przegranej, niż na zwycięskiej kampanji, cierpią rzecz jasna, ekonomicznie, a to zwykle bywa najdotkliwszą bolączką. Dzisiaj z wolą czy bez woli cały naród musi przyjmować udział w wojnie, pośrednio lub bezpośrednio. Bezpośrednio — na polu bitwy w mundurze żołnierskim, pośrednio — podporządkowując swoje najbardziej żywotne interesa interesom tego groźnego żywiołu. Więc na dodatni lub ujemny rezultat wojny może i musi wpływać każdy obywatel, w zakresie mniejszym lub większym. Obojętność stanowi tu czyn zły. Wojna rozlewa się dziś szeroko i wnika wszędzie, nawet w najbardziej ukryte domowe zacisza.

Dla tych, którzy chcieliby choć w części zrozumieć mechanizm wojny i stać się przez to pożyteczniejszymi dla państwa w ciężkich chwilach zbrojnej argumentacji — służy książka Meyera. Nie jest ona nowością w dziedzinie popularyzacji tego tematu. Pomijając zupełnie nie fachową beletrystykę, obliczoną na senzację, w rodzaju Niemirowicza lub Łarenki, widzimy w europejskiej literaturze szereg dzieł popularnych z zakresu wojny, bądź to utrzymanych na wyżynie teorji, bądź włoczonych w ramy fantazyjnego i obrazowego pięknictwa, ale z wyraźnym echem i przewagą przewodniej myśli militarnej. Takimi dziełami w literaturze niemieckiej są „Śmierć potęgi angielskiej“, „Wielka wojna w dzisiejszej dobie“ gen. von Falkenhausena i in., w rosyjskiej: „Napoleon i Wellington“ Dragomirowa, „W sztabach i na polach Dalekiego Wschodu“ Grulowa, wreszcie we francuzkiej: „Guerre fatale“, Guerre en balon“, „Guerre de la forteresse“ — ostatnie nagrodzone najwyższym odznaczeniem Akademji w Paryżu.

W dzisiejszej wojnie uczestniczą wszyscy obywatele walczącego narodu. Wojna wskutek konkurencyjnej kultury ilości bojowników przybrała kolosalne rozmiary i stworzyła niezwykle skombinowaną maszynerję przygotowawczą i bojową. Udoskonalona technika komunikacji i broni stała się obcą i niezrozumiałą dla szerokich warstw. Tymczasem ta sama wojna wymaga od uczestników, i to wszystkich bez wyjątku, harmonijnego współdziałania, rozumnej, wychodzącej po za wszelki szablon, konsolidacji czynów. Więc w imię zwycięstwa i życia narodu trzeba udostępnić masom wszystko to, co dotąd było monopolem garści kierowników wojskowych, wszystko, co nie jest ukrywane ze względow strategicznych. Na tej zasadzie pisze się i publikuje książki i broszurki militarne, popierane przez sztaby i poważnie myślących patryjotów.

O ile w armiach narodów niepodległych istnieje bądź co bądź zastęp ludzi fachowych w tym zakresie, o tyle my, Polacy, jesteśmy biedniejsi i tym mniej mamy danych do zajęcia stanowiska wśród silnych i zdolnych do życia Jako szkoła praktyczna wiedzy i sztuki wojennej pozostają nam — dotąd bojkotowane — armje państw zaborczych i organizacje spiskowe w Królestwie. I jedno i drugie nie zastąpi nam tego, co chcemy wyciągnąć na przyszłość z nauki o wojnie, mianowicie przystosowania nowoczesnego militaryzmu do specjalnych warunków, wśród których zacznie się, będzie trwać i skończy się polska rewolucja niepodległościowa. Dla osiągnięcia tego celu potrzeba intenzywnej pracy myślowej jednostek i grup powstańczych. Jako środki tu służą — jak dotąd prawie wyłącznie — dzieła fachowc o wojnie między egzystującymi armiami.

Pojawienie się „Wojny“ Meyera w przekładzie polskim, a więc udostępnionej ogółowi polskich czytelników należy powitac z radością. Szkoda tylko, że przekładu nie poprzedził wstęp, któryby wyjaśniał znaczenie treści „Wojny“ dla nas. Wskutek tego braku nieprzygotowany czytelnik czuje się wprost przygniecionym tytaniczną wielkością zadań, jakie ma przed sobą wojna — i to wojna dwóch lub kilku armji, gotowych od dawna do boju wraz z całym aparatem mobilizacyjnym, uzbrojeniem, sztabami własnym terenem i t. p. W myśli owego czytelnika musi powstać pytanie: cóż dopiero będzie, gdy my najbiedniejsi z biednych pod tym względem, weźmiemy się do roboty bojowej? I na pytanie to, według metodycznych i surowych rozważań Meyera, odpowiedź nie może być pocieszającą. Oto kolos militarny, jak Niemcy lub Rosja wystawi przeciw nam w ciągu kilku dni olbrzymią armję o froncie na sto lub więcej kilometrów, ogłuszy do szczętu hukiem tysięcy armat, stratuje licznymi dywizjami kawalerji, a na ostatek — po kilku klasycznych oskrzydleniach zarzuca czapkami dla uniknięcia zbytecznej ekspansji ładunków. Nad głowami powstańców snuć się będą liczne „sztywne“ i mniej „sztywne“ balony, teraz i aeroplany, dookoła zawarczą motocykle i bojowe automobile, wreszcie przed samym bojeu wszyscy insurgenci umrą z głodu, bo nie będą mogli w żaden sposób zorganizować służby etapowej, która stanowi trud trudów nawet dla wyszkolonych intendentów i to na włas ym terenie! Radjotelegraf, telefony polowe, heljograf, rakiety bojowe, opancerzone reflektory, —Jezus Marja! skąd my to wszystko weźmiemy, już nie mówiąc o karabinach i armatach, a przecież bez tego nie można myśleć o powodzeniu...

W rzeczywistości książka Meyera nie powinna nasuwać wniosków takich żałobnych dla wszelkiego powstania. Przedstawiając nam w grubych zarysach organizację i fungowanie wojny nowoczesnej, ma przedewszystkim znaczenie negatywne: jakich środków echniki wojennej należy najbardziej się obawiać i jak udaremnić ich działanie. A więc: gdzie wojna posiada najsłabsze miejsce, gdzie wrogowi można zadać niepowetowaną klęskę — tam trzeba skierować myśl i wytężyć siły. Gdzie wróg ma najwięcej kłopotu — tam kłopot jego podnieść do objawu niemożebności i rozpaczy. „Wojna“ daje pewną ilość wytycznych, którymi kierować się powinien rewolucjonista, pracujący nad przystosowaniem do rewolucji wszystkiego, co może spowodować zgubę dla wroga.

Sam Meyer, jakkolwiek uznaje ważność metody, gardzi bezwzględnie szablonem. Jest to cechą wszystkich rozumnych teoretyków militarnych. Nie uznaje on granic dla indywidualnej akcji w swoim zakresie. I przyznaje tym samym ogromną wartość wynalazczej inicjatywie, która potrafi zastąpić lub ubezwładnić maszyny i radjotelegrafy. Maszyna przestaje działać szablonowo, więc mniej lub wcale nieszkodliwie, jeśli jest w ręku człowieka, nie drugiej maszyny, różniącej się tym, że posiada rusztowanie z kości, zamiast z żelaza czy desek, i — boi się o ich całość.

Przedstawiony przez Meyera skomplikowany aparat wojenny powinien działać wzorowo, inaczej biada walczącemu! Zdaje się więc, że rządy mają do rozporządzenia wszystko, co może ułatwiać akcję w tym kierunku, i w razie wojny — cały mechanizm pojedzie naprzód, jak po maśle. Jakkolwiek trudności są olbrzymie, przeszkód cała masa, wszakże ominąć je można, skoro koniecznie potrzeba tego. W umyśle czytelnika siłą rzeczy powstaje pewne lekceważenie owych przeszkód i tarć wewnętrznych, gdyż tak czy owak one są zwyciężane, chodzi tylko

o dobrą organizację i środki. To lekceważe ie nie jest bynajmniej słuszne. Aby zrozumieć całą wagę nieobliczalnych nigdy tarć wojennych, trzeba więcej intuicji niż studjów. Trzeba wczucia się w atmosferę wojny — żywiołu niebezpieczeństw i śmierci. A to jest rzeczą niełatwą, dla wielu niemożebną. Na tym polu konkurencja nasza z wrogiem musi zwyciężyć i ma szanse zwycięstwa, bo zbrojne powstanie jest objawem zbiorowego gienjuszu wojny. Zmniejszenie tych tarć u siebie i zwiększenie ich u wroga — to wielki atut zwycięzcy.

„Wojna" pisana jest doskonale, z tą wstrzemięźliwością i rozwagą, jakie cechują niemieckich autorów wojskowych. Dziwnym wydaje się, wobec tego, słabo uzasadnione twierdzenie, że „nie będzie już nigdy Sedanu, lub, że żołnierz rosyjski w mandżurskiej kampanji przedstawiał materjał przeciętnie bardzo dobry, podczas, gdy o kilka stron dalej autor kładzie wielką wagę na roztropność szeregowca. Ale te drobne uchybienia nie wpływają na głębszą treść książki ani nie obniżają jej wartości.

„Wojna" wprowadza czytelnika odrazu w swój odrębny świat, może zbyt sucho tutaj traktowany ale możliwie dokładnie — jak na odległość popularyzacji — oświetlony przez autora.

Przekład na ogół poprawny. Rażą nieco zbyt dosłowne tłómaczenia niektórych zdań i słów, jak: „koło" zamiast wmer, „ciągnienie" — zamiast pochód, i kilka innych.

ROMUALD MINKIEWICZ.

SŁOWA ZATRWAŻAJĄCO SZCZERE.

„Tępić połowiczność, zgłuszać kłamstwo, budzić młode lwy Woli".
(Ibsen: »Brandt«.)

I. Wstępne.

Powiedzcież mi w eszcie, jak mówić mam do ludzi, iżby zrozumieć zechcieli i w serca tętno wcielić?

Oto wykładam im myśl mą serdeczną w formie ogólnej: przyznają mi słuszność zupełną i całkowitą, lecz nikt do siebie tego nie bierze!

Więc biorę przykład szczególny, konkretny, wskazuję naocznie i namacalnie: zgadzają się, przytakują, lecz nikt przykładu za symbol wziąć nie chce i jego znaczenia na inne rozciągnąć!

Więc skupiam się cały w słowo przyjazne i mówię tak do nich, jak gdyby dusza ich własne szeptem tajemnym modliła ich i zaklinała... A oni klaskają, że „pięknie tak mówią", i pełni wdzięczności za „miłe wzruszenie", wracają w gnojówki codziennych podłostek.

Tedy goryczą pełniony i smutkiem, ukręcę ze słów mych bicz smagający, i grzechy nędznego Adama na pośmiewisko wywlokę i chłostę... A ludzie zbiegają się zewsząd na „widowisko" chłosty, i chłoszczą nędznego Adama wraz ze mną, a potem, zadowoleni ze siebie i ze mnie i idą pełnić to właśnie, za co chłostali Adama.

A gdy się porwę w rozpaczy bezsilnej, i w twarz im wprost cisnę, że o n i tym Adamem chłostanym i nędznym?!... powiedzcież, drodzy, zali nie każą mi być obłąkanym? zali nie zwiążą i nie uwiężą? i ust mi nie zakneblują? i głodem mię morzyć nie poczną, pewni, że pełnią czyn „narodowy"??...

A przecie, dopóki serce mam w piersi bijące i usta wolne ku mówieniu, mówić będę i wołać, przekonywać i błagać, szydzić i chłostać, modlić i wskazywać, — z wiarą do końca niezłomną, iż usłyszycie mię, wy nieznani! wy towarzysze moi! w y ż y w i, k t ó r z y n a d e j ś ć m u s i c i e!

II. Iżby „zatyło serce ludu". (Mat., XIII).

Czyż nie nabyliście jeszcze, z rozważania dziejów naszych od Stanisława Augusta aż do dnia dzisiejszego, pewności, że wmówienie w Naród „niemożliwości" i „absurdalności" walki leżało i leży w interesie tych, co naród sprzedali, a gdy się burzył, wszelkimi środkami starali się go „uspokoić", co paraliżowali wszelkie przygotowania, zawsze dla nich „przedwczesne", a skoro ruch mimo to miał wybuchnąć, usiłowali, by wybuchnął przedwcześnie, aby potem ująć kierunek jego w swoje „jedynie powołane" ręce i doprowadzić go świadomie i nieochybnie do „przewidzianego, koniecznego" skonu, wydając Warszawę, pełną wojsk i broni, unikając bitwy wtedy, gdy zwycięstwo było pewne, zaś opóźniając nadejście oddziałów, na punktualności których plan bitwy był zbudowany, zmuszając wreszcie do składania broni potężne, pełne zapału armje?...

A z każdem pokoleniem, drogą naturalną rosła ich „pewność", ich przewaga nad maleńkiemi móżdżkami warstw szlagońsko-mieszczańskich i zajęczemi sercami t. zw. inteligencji.

I coraz liczniejsze zastępy, przypuszczane „do stołu pańskiego" (czytaj: szaflika!) głosiły konieczność i chwaliły „dobre" strony „podległości".

A ktoby się im sprzeciwił lub zaprzeczył, warchołem był i zdrajcą, „gryzoniem Narodu", szaleńcem lub „dzieckiem"...

Bowiem celem ich i warunkiem ich pomyślności było i jest, iżby „zatyło serce ludu".

Jakżebyście inaczej zrozumieć zdołali, że nie porwał „Narodu" piorunujący przykład Rewolucyjnej Francji, jak my kilkunastomiljonowej, która sama zdołała stawić czoło koalicji wszecheuropejskiej i zwyciężyć i prawa dyktować?

Jakżebyście zrozumi ć zdołali, że nic nie powiedziały „Narodowi" wojny japońskie z Chinami i z Rosją?... i tyle, tyle innych, zbyt chyba rażących wydarzeń?

I jakożbyście zrozumieć mogli inaczej zbieranie „Skarbu na walkę czynną" w czasach największej potęgi Rosji, a zaś po wojnie japońskiej (słyszycie? po wojnie japońskiej!) składanie ofert Ministrowi przez „Dyktatora Narodu"?

I jak zrozumieć zdołacie ideologię „dziejowej konieczności organicznego wcielenia"?...

O t o s ą d z i e j e i n t e r e s u. Świadomego, wyrafinowanie celowego, żadnymi nie gardzącego środkami interesu osób i worków, własności i posad, grup rządzących i „sfer powołanych", — od

króla Stasia do Skrzyneckich i Krukowieckich, Langiewiczów i Dmowskich, — od targowiczan do ugodowców, stańczyków i demokradów (d nie t!) od „warszawskich“ pozytywistów do „jedynie czystych“ marksistów luksemburskich.

Iżby „zatyło serce ludu“...

A jeśli nie zatyło?

III. Czwarte przykazanie.

a) Przez tyle lat tysięcy mówiono dziecku „Czcij ojca twego i matkę twoją!“ — jakgdyby nakazem, nie zaś życiem, czci godnem, można było cześć w dziecku ku ojcom obudzić.

Czemuż więc rodzicom nie mówiono: „Uczcijcie dziecię wasze, albowiem powstać ma zeń człowiek!...“ A jeśli przyszłego człowieka uczcić w dziecku waszem nie chcecie, jakożbyście chcieć mogli, by dziecko was czciło?

b) I mówią wciąż młodzieży: „Szacujcie starszych!... albowiem wiele przeżyli“.

Ja zaś sądzę, iż ze słusznością stokroć większą wołać należy: „Starsi! szanujcie młodzież, albowiem życie nie zabiło w niej jeszcze szlachetności!... Co zaś do Was, niech i Was młódź uszanuje, o ileście szacunku godni“. (C. d. n.).

Z TYGODNIA.

JUBILEUSZ BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO WE LWOWIE. Przejmujące wzruszenia przeżyliśmy w dniu czwartkowym. Lwów patryjotyczny, socjalistyczny i postępowy złożył hołd tułaczemu starcowi, temu, który przyniósł tu, na ziemię polską, święte zwitki rewolucyjnego zakonu od emigranckich mogił... Lwów przyjmował napowrót Limanowskiego, którego stąd przed laty dwukrotnie wygnała magnacka ręka polskich wielkorządców kraju. Przyjmował gorącym, na ton niezwyczajnie podniosły nastrojonym słowem ludzi politycznych, reprezentantów partji, organizacji, ideowych obozów. Przyjmował mistrzowską grą i pieśnią artystów, przedziwnie zespolonych duchem z słuchaczami. Duch braterstwa broni, duch wzajemnej miłości unosił się nad zebranym tłumem. Niejednokrotnie łkaniem jakimś zaciskało się gardło, oczy zachodziły łzami...

Ogromna sala Filharmonji pełna po brzegi. Niema wolnych miejsc. Na podjum orzeł biały, ten bez korony, zrywa się z czerwieni sztandarów... Dla skromnego staruszka loża świetnie przybrana kwieciem i purpurą... Jeden z twórców stronnictwa postępowego, radny Śliwiński, spełniał rolę gospodarza. Zagaja socjalny demokrata polski, poseł Hudec. Ponawia hołd, złożony Limanowskiemu w Krakowie przez proletarjat polski trzech zaborów. Ponawia śluby, łączące socjalistów polskich ze sprawą narodu. Mówi o bohaterach i męczennikach z tej partji, której czcigodny jubilat jest żołnierzem... Grzmot oklasków. Niema w tej sali uprzedzeń i rozłamów. Wszyscy czują się dzisiaj braćmi w wolności, demokracji, Polsce. Zabiera głos ukraiński socjalista, ten który Polskę jak ojczyznę ukochał, ten, który „przeciw nadziei i przeciw pewności duchów wystygłych i śmierci wróżbitów“ wierzy w braterstwo broni obu narodów — Mikołaj Hankiewicz. Mówi o tych dziejowych naukach, które z rozważania przeszłości zdobył sędziwy Jubilat. Kończy życzeniem, do jubilata zwróconym, życzeniem takim, że duch w słuchaczach zamiera, jęk wydziera się z piersi, łzy się kręcą... Teraz postępowiec polski, radny Aleksander Lisiewicz. Mówi jako przedstawiciel demokratycznego i postępowego Lwowa, czuje się przedstawicielem całej Polski postępowej i demokratycznej i czuć się tym przedstawicielem ma prawo. Płyną słowa, pełne mocy. Odżywa wspomnieniem krwawa epopeja Racławic i Maciejowic, Grochowa i Ostrołęki, Kobylanki i Żyrzyna... Oto ten starzec czcigodny pierwszy powiązał zerwaną nić tradycji dziejowej. On wskrzesił hasło: wolna Polska demokratyczną być musi! Skończył mowca. Huragan oklasków trwa długo, długo, bo oto podniósł się w loży starzec drżący ze wzruszenia... Dziękuje cichym głosem, ale głos się podnosi, staje się doniosłym, czystym, bo oto ów książę niezłomny polskiej demokracji o przyszłości mówi, o tym, że kiedyś będziemy wolni... Parę słów podzięki dla miasta, które kiedyś chciało go mieć swym obywatelem. Limanowski czuje się obywatelem Lwowa...

Długi szereg delegatów. Wśród nich przedstawicie młodzieży wyraża wiarę, że jego rówieśni starym obyczajem Francji rewolucyjnej kartami pism Limanowskiego ozdobią i uświęcą ostrza bagnetów, bo karty te, to słowa: wolność, równość, braterstwo ludzi i ludów. Przedstawiciel Polskiej Partji Socjalistycznej mówi o teraźniejszości tragicznej i o tym, że od Limanowskiego uczą się jego towarzysze, jak wytrwać niezłomnie...Przypominają się słowa poety: „Za pokochaną ojczyznę, my, którzy nie uchodzim!“ Mówi przedstawiciel „Kurjera lwowskiego“ o wspólnej idei Polski ludowej... Mówi przedstawicielka kobiet o tym, który jako jeden z najpierwszych wystąpił w Polsce przeciw przywilejom płci. I długo jeszcze snuje się korowód oddających hołd.. Mówi i nasz redaktor — razem przewodniczący komitetu jubileuszowego, Gustaw Daniłowski, mówi jako żołnierz prosty z pod tego znaku, któremu biały ów starzec hetmani.

Chór techniczny pod batutą Wolfsthala. Cudne, cudnie nasze pieśni. Na końcu, na pożegnanie „Czas do boju, czas...“

Pani Siemaszkowa... Głos wzbiera silniej, niż kiedykolwiek może, zapałem i natchnieniem. Zadzierzga się węzeł osobliwy między wielką artystką, a tym starcem białym, tym duchem-sokołem, który wilgotnym okiem spogląda po scenie.

Fortepian. Pani Loewenhof. Z pod rąk artystki płyną cudne ogromem tęsknicy tułaczej melodje Szopena.

Adam Ludwig... Niewidziany długo, ulubiony śpiewak, tym goręcej witany, że w takiej chwili właśnie. Śpiewa nie płucami tylko, ale sercem. Kończy „Warszawianką“, tą piosenką z r. 1831 o nowych słowach, podłożonych przez rok 1905. Wstaje tłum. W setkach piersi tłucze się melodja. Szkoda, że ją tłumią przez cześć dla artysty. Wychodzą tłumy z pieśnią w duszy: „Odrodzona Polsko żyj!“

I był obchód lwowski wielkim świętem odradzającej się Polski. A powiedziano słusznie, że był świętem żywych, orędziem na żywot nowy.

DOPEŁNIŁO SIĘ. Dopełniło się dzieło gwałtu. Z końcem minionego tygodnia podkomisja dumska „z zadziwiającym, złodziejskim wprost pośpiechem“ uchwaliła proponowane przez Czichaczewa rozszerzenie granic przyszłej gubernji chełmskiej, w ślad za tym zaś przyjęła artykuł, stanowiący wyłączenie jej z Królestwa Polskiego. Zrobiono to po prostu, bez dyskusji, prócz jednej, obrończej mowy posła Dymszy, który raz jeszcze wzywał nadaremno kongres wiedeński i statut organiczny i wywoływał z grobu deklaracje, przysięgi i obietnice Aleksandra I, Mikołaja I i Aleksandra II. Krótko replikował carski minister stwierdzeniem, że dokumenty te są martwe, Rosja zaś ma nad swym terytorjum pełną władzę... Automatycznie zapadła uchwała podkomisji i automatycznie zapadnie ona w Dumie. Nowy okres męczeństwa czeka nie-

uchronnie ziemię chełmską. „Koło Polskie“ w Petersburgu dochodzi już do szczytu swej Golgoty poniewierki i upokorzeń. Przedstawiciel jego bierze pośrednio udział w tym nowym akcie rozbiorczym, wysilając się, w celu wyjednania takich ustępstw, jak utrzymanie wyodrębnionej gubernji w zakresie działania Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Czy cała w ogólności obecność posłów polskich w Dumie nie jest pośrednim, mimo wszelkie opozycje i protesty, sankcjonowaniem dokonywanych gwałtów? Słuszną czyni uwagę „Kurjer Poranny“, że „złożenie mandatów przez Polaków nabrałoby znaczenia daleko poważniejszego, niż wszelkie otrzepywanie z kurzu starych papierów kongresu wiedeńskiego i statutu organicznego". Byłoby przedewszystkim — mocnym protestem w obliczu Europy.

Cios obecny nieunikniony był i nieodwracalny. Ale z goryczą pytać się przychodzi: czy uczyniono wszystko, co było do zdziałania, aby przegrywając straconą tę sprawę, wygrać ją zarazem moralnie, w oczach cywilizowanego świata? Czy zdziałano to zwłaszcza w parlamencie wiedeńskim, czy pamiętano o tym podczas sesji delegacyjnej? Powiedzmy całą prawdę: sprawa chełmska była przez nas porzuconą oddawna, w ostatnich zaś miesiącach po prostu — zapomnianą. A przecież mieliśmy pono wiec jakiś w sprawie chełmskiej na lwowskim ratuszu... Groziliśmy wywołaniem burzy wiecowej w kraju... Groziliśmy potężnym apelem do Europy... Nie było burzy i nie było potężnego apelu...

Ówczesnemu stanowisku starszego pokolenia przeciwstawiła młodzież polska we Lwowie uchwałę, orzekającą, że czynem tylko odpowiadać wolno na takie zbrodnie, jak zabór Chełmszczyzny. Uchwała ta obowiązuje młodzież naszą. Obecna wieść z Petersburga winna być uchwały tej uroczystym przypomnieniem.

HONOR POLONIAE ŻYWIE W NAS... Hrabia Antoni Wodzicki, ów legitymista, broniący z heroizmem w austryjackiej delegacji praw Abdula Hamida i don Manuela, niedarmo występował rok temu przeciw święceniu rocznicy grunwaldzkiej. Działo się to po sprzedaniu potomkom Krzyżaków praw, które miał hr. Tonio wraz z hr. Henrykiem Potockim do ordynacji rydzyńskiej. Za cenę 4 miljonów koron poszła ta olbrzymia ordynacja, 15000 morgów polskiej ziemi, w ręce pruskiego kolegjum szkolnego, reprezentującego prawa dziedziczne, nieśmiertelnej pamięci Komisję edukacyjną. Po dzień dzisiejszy przewlekła się sprawa wskutek sprzeciwu dalszych „agnatów“ wygasłej gałęzi Sułkowskich; teraz już sprzeciw odrzucony, a robota komisji kolonizacyjnej rozłoży się w kluczach rydzyńskich rozległym obozem.

Prasa domaga się od występnych magnatów, którzy swe patryjotyczne sumienie lżej ważyli, niż pruskie miljony, ekspjacji cząstkowej przez obrócenie otrzymanych sum na cele narodowe. Coś zdziałać w tym kierunku obiecywał w swoim czasie pan Wodzicki. Nie wierzymy w ziszczenie tych obietnic, ani w możliwość poparcia celów narodowych judaszowym srebrnikiem. Pójdzie to złoto w pult wraz z karabelą i złotym pasem...

O MIEJSKĄ REFORMĘ WYBORCZĄ. (A) Znacznie mniej zainteresowania, niż poprzednie, wykazywało wtorkowe posiedzenie Rady miejskiej, poświęcone reformie wyborczej. Kiedy dzwonek prezydjalny ogłosił rozpoczęcie obrad— okazało się, że niema referenta i Rada czekała długie minuty w skupieniu, jak gdyby w modlitwie, nad już uśmierconą, a jeszcze nie pogrzebaną reformą.

Dyskusja toczyła się żywo i obfitowała w momenty bardzo ciekawe Powoływano się na historję, tradycje, walczono przykładami i cytatami, czując, że może ostatni raz na dłuższy czas w tak ważnej sprawie stanowisko swe można wyjaśnić, że wypowiedzieć mogli ci, którzy reformy najdalej idącej pragną, swoje „credo“ narodowe i polityczne.

R. dr. Schleicher oparł swe wywody na obszernym materjale cyfrowym, na przykładach z ustawy wyborczej miast austryjackich, np. Wiednia, Berna, Salzburga i innych. Wykazał, że projekt większości komisji kosztem zasady powszechności, raczej kosztem samej jej nazwy, niszczy zasadę równości, wprowadza kurje, pluralność itd. R. Pawlewski w krytyce projektu nazwał dowcipnie to jako „powszechność pod kuratelą“.

Przemówienia dwóch innych reprezentantów opozycji, rr. Janika i Laskownickiego, ujęły kwestję walki o reformę wyborczą na tle bardziej ogólnym. Byli to ostatni już mowcy, którzy czuli, że na nic cyfry i przykłady wobec oporu większości. Podzielił dr. Rutowski społeczeństwo na tych, „którzy się boją“ i tych, „którzy się nie boją“ reform dla dobra ogółu, zarzucił r. Lewicki i r. Próchnicki, że uderza się w honor narodu. Obroną ideologji tych Modrzewskich i Konarskich, co złymi synami ojczyzny często zwani byli, Kołłątajów i Stasziców, obroną tych, co w roku 1789, 1794, 1830, 1863 i 1905 nie lękali się wcale, co chcą i chcieli oprzeć zasady społeczne na sprawiedliwości i braterstwie, były przemówienia rr. Janika i Laskownickiego. A zarazem były to oskarżenia przeciw tym, co zawsze bali się reform, uwłaszczenia, powstań, co zbyt ostrożni, broń z dłoń swoich dawali wytrącać!

Jakże przestawiają się w Radzie m. obrońcy projektu komisji i ich argumenty?

Jeden tylko r. Lewicki bez zastrzeżeń bronił projektu r. Neumanna. „Niechcę, aby głos mieli ci, którzy nie mają nic do stracenia i którzy są mało interesowani w ekonomicznych interesach miasta, bo odbić się to może źle na interesach miasta i na nich samych przedewszystkim“ jak gdyby rządy obecne tak dobre były dla miasta i słodkie dla tych „co nie mają nic do stracenia“.

Argumentacja jasna — „nie chcę“! Bronił p. Lewicki sejmów polskich, twierdząc, że zawsze skore były do dania wolności szerokim warstwom i na tradycję ich się powoływał, zapominając, że zaczął swą mowę od słów „Nie chcę...“

A r. dr. Próchnicki twierdził, że reforma gminna nie budzi zainteresowania, że nacisku i krzyku mas pozbawionych prawa nie było — że wszelkie wiece, zgromadzenia, głosy prasy, demonstracje i t. d. nie mogą się nazywać „naciskiem ani krzykiem mas“. Czyż ten nacisk musi koniecznie wyrażać się po „rosyjsku“!? Wyszedł p. P. z założenia, że reforma musi być skromną — bo za parę tygodni spis ludności, kryjący w sobie same niespodzianki. A więc realnym byłoby zniesienie kart legitymacyjnych, pełnomocnictw kobiecych, co byłoby reformą bez rozszerzenia praw wyborczych. A jedyną zaletą projektu komisji jest to, że „nie grozi żadne niebezpieczeństwo“(!!).

Prez. Rutowski oświadczył się za rozszerzeniem prawa wyborczego dla najszerszych mas, bo to jest najlepsza szkoła życia publicznego — a jeżeli są tacy, którzy dają te prawa oględnie, to należy ich usprawiedliwić, bo idzie nie o ich prywatę, lecz o dobro publiczne.

Ale — p. Rutowski głosować będzie za projektem r. Neumana — bo też lęka się spisu ludności i tych procentów Rusinów i Żydów.

Dyskusja nad reformą ukończona — o ile się jeszcze ktoś nie zgłosi. Następny wtorek przynieść nam powinien ostatnie słowo Rady stolicy kraju. Sytuacja jest o tyle interesująca, że r. dr. Próchnicki oświadczył imieniem swego klubu, że wstrzyma się od głosowania nad zasadniczą kwestją utworzenia kurji, natomiast w razie jej uchwalenia zgadza się na wszelkie dalsze punkty projektu. Wobec tego nie jest rzeczą pewną, czy dwa pozostałe kluby zdołają zebrać potrzebną ilość głosów dla uchwalenia projektu komisji.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal.** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny Juliusz Łopatka.

ROCZNIK XII. GRUDZIEŃ 1910.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

Część pierwsza:

1. (f). Z ksiąg proroczych St. Wyspiańskiego.
2. **Dr. Edward Lewiński**: Emigrant polski w Ameryce.
3. **Wł. Zieleński**: Młodzież galicyjskich szkół średnich.
4. **Dr. M. Sokolnicki**: Upadek państwa polskiego w świetle nowych badań.
5. **Lux**: Z ruchu religijnego.
6. **Junius**: Współcześni politycy polscy.
   XII. Pan wiceprezydent Dembowski.
7. **Przegląd**:
   I. Sejm galicyjski.
   II. Zgon zasłużonego działacza.
   III. O wolną szkołę.
   IV. Zaburzenia na Uniwersytecie Jagiellońskim.
   V. Kultura operetkowa.
8. Sprawozdania.

Część druga:

1. **Wł. Orkan**: Wiersze ironiczne.
2. **Włodz. Piński**: Rembrandt.
3. **I. Ordyński**: Szkice teatralne. Giest czy słowo.
4. **Andrzej Baumfeld**: Ziemia.
5. **Dr. Wł. Kozicki**: Eros. Fragment z życia i twórczości Michała Anioła.
6. **Savitri**: Z antologji poetów rosyjskich (Iwanow, Sałohub, Balmont, Briusow).
7. **W. Sieroszewski**: Dary wiatru północnego.
8. **M. Smolarski**: Śpiew o życiu.
9. **Mieczysław Rettinger**: Ostatnie poezye Leop. Staffa.
1 . **Przegląd**:
   I. **L. Wasilewski**: Pierwsze próby syntezy.
   II. Zgon Tołstoja.
   III. **T. Niedzielski**: Dookoła Wystawy.
   IV. **Mungo**: Z wystaw lwowskich.
   V. (x) Teatr krakowski.
   VI. Ruch filozoficzny.
11. Sprawozdania. Z badań historyczno-literackich.

Dodatek artystyczny:
REMBRANDT: Zdjęcie z krzyża. — Dawid w modłach.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi:	zagranicą:			w Król. i Rosyi:
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	„ 10	„ 10	„ 12	„ 2·50	„ 5
kwartalnie	„ 5	„ 5	„ 6	1·50	„ 2·50
Nr. pojedynczo	„ 1·75	„ 2			„ 1

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW, ULICA STACHOWSKIEGO L. 14.